

Hanna Krall

Zdażyć przed Panem Bogiem

- Nosileś tego dnia sweter z czerwonej puszystej wełny. "To był piękny sweter, dodałeś, z angory. Po bardzo bogatym Żydzie..." Na nim były dwa skórzane pasy na krzyż, a pośrodku - na piersi - latarka. "Słuchaj, jak ja wyglądałem!" - mówiłeś mi, kiedy zapytałam o dzień dziewiętnasty kwietnia...

- Tak mówiłem?

Było chłodno. W kwietniu wieczorami bywa chłodno, zwłaszcza jak człowiek mało je, więc włożyłem sweter. To prawda, znalazłem go w rzeczach jednego Żyda, któregoś dnia wygarnęli ich z piwnicy i ja sobie wziąłem sweter z angory. Był w dobrym gatunku: ten facet miał mnóstwo pieniędzy, przed wojną ufundował dla FON-u samolot czy czołg, coś w tym rodzaju.

Ja wiem, że ty lubisz takie kawałki, pewnie dlatego wspomniałem o tym.

- O nie. Wspomniałeś - bo chciałeś coś pokazać. Rzeczowość i spokój. O to chodziło.

- Po prostu mówię tak, jak myśmy wszyscy wtedy o tym mówili.

- Więc sweter, pasy na krzyż...

- Dopisz jeszcze dwa rewolwery. Do sznytu należały rewolwery - na tych pasach. Wtedy wydawało nam się, że jak się ma dwa rewolwery, to ma się wszystko.

- Dziewiętnasty kwietnia: obudziły cię strzały, ubrałeś się...

- Nie, jeszcze nie. Obudziły mnie strzały, ale było zimno, poza tym strzelali daleko i nie było jeszcze po co wstawać.

Ubrałem się o dwunastej.

Był z nami chłopak, który przyniósł z aryjskiej strony broń - miał zaraz wrócić, ale już było za późno. Jak zaczęli strzelać, powiedział, że ma córkę w Zamościu w klasztorze i wie, że on nie przeżyje tego, ale ja przeżyję, więc mam zająć się po wojnie tą córką. Powiedziałem: "Dobra, dobra, nie pleć głupstw".

- No?

- Co "no"?

- Udało ci się odnaleźć córkę?

- Tak, udało.

- Słuchaj. Umówiliśmy się, że będziesz mówił, prawda?

Jest jeszcze dziewiętnasty kwietnia. Strzelają. Ubrałeś się. Ten chłopak z aryjskiej strony mówi o córce. Co dalej?

- Poszliśmy rozejrzeć się po okolicy. Przeszliśmy przez podwórze - tam było kilku Niemców. Właściwie należało ich zabić, ale nie mieliśmy jeszcze wprawy w zabijaniu, poza tym trochę się bali - i nie zabiliśmy.

Po trzech godzinach strzały umilkły.

Zrobiło się cicho.

Nasz teren to było tak zwane getto fabryki szczotek - Franciszkańska, Świętojerska, Bonifraterska.

Brama fabryczna była zaminowana.

Kiedy następnego dnia podeszli Niemcy, włączyliśmy wtyczkę, chyba ze stu ich się rozkwaśiło, zresztą nie pamiętam dokładnie, musisz to gdzieś sprawdzić. W ogóle coraz mniej rzeczy już pamiętam. O każdym z moich chorych potrafiłbym ci opowiedzieć dziesięć razy więcej.

Po wybuchu miny zaczęli nas zdobywać tyralierą. Bardzo nam się to podobało. My - w czterdziestu, ich stu, cała kolumna, w szyku bojowym, skradają się, widać, że traktują nas poważnie.

Przed wieczorem wystali trzech z opuszczonymi automatami i białą kokardą. Wołali, żeby zawiesić broń, to nas odeślą do specjalnego obozu. Myśmy ich ostrzelali - w raportach Stroopa znalazłem potem tę scenę: oni, parlamentariusze, z białą chorągwią, a my, bandyci, otwieramy ogień. Zresztą nie trafiliśmy ich, ale to nieważne.

- Jak to - nieważne?

- Ważne było przecież to, że się strzela. To trzeba było pokazać. Nie Niemcom. Oni to potrafili lepiej. Temu innemu światu, który nie był niemieckim światem, musieliśmy pokazać. Ludzie zawsze uważali, że strzelanie jest największym bohaterstwem. No to żeśmy strzelali.

- Dlaczego wyznaczyliście właśnie ten dzień - dziewiętnasty kwietnia?

- To nie my go wyznaczyliśmy. To Niemcy. Tego dnia miała się rozpocząć likwidacja getta. Były z aryjskiej strony telefony - że szykują się, że już obstawili z zewnątrz mury. Osiemnastego wieczorem zebraliśmy się u Anielewicza, cała piątka, sztab. Ja chyba byłem najstarszy, miałem dwadzieścia dwa lata, Anielewicz był młodszy o rok, razem, w pięciu, mieliśmy sto dziesięć lat.

Tam już się mówiło niewiele. "No to jak?" "No to dzwonili z miasta", Anielewicz bierze getto centralne, zastępcy - Geller i ja - "Szopy Toebbensa" i fabrykę szczotek. "No to do jutra" - tyle że pożegnaliśmy się, czegośmy nigdy przedtem nie robili.

- Dlaczego właśnie Anielewicz był komendantem?

- Bardzo chciał nim być, więc go wybraliśmy. Był w tej ambicji trochę dziecinny, ale to zdolny chłopak, odcytany, pełen wigoru. Przed wojną mieszkał na Solcu. Jego matka sprzedawała ryby, jak zostawały, to kazała mu kupować czerwoną farbę i farbować skrzela, żeby wyglądały jak świeże. Był stale głodny. Kiedy przyjechał z Zagłębia do nas i

daliśmy mu jeść, zasłaniał talerz ręką, żeby mu nie zabrano.

Miał dużo młodzieńczej werwy, zapału, tylko że nigdy przedtem nie widział "akcji". Nie widział, jak się ładuje ludzi na Umschlagplatzu do wagonów. A taka rzecz - kiedy się widzi czterysta tysięcy ludzi odsyłanych do gazu - może człowieka załamać.

Dziewiętnastego kwietnia nie spotkaliśmy się. Zobaczyłem go nazajutrz. Był to już inny człowiek. Celina powiedziała mi: "Wiesz, to stało się z nim wczoraj. Siedział, powtarzał: zginiemy wszyscy..." Tylko raz jeszcze się ożywił. Kiedy dostaliśmy wiadomość od AK, żeby czekać w północnej części getta. Nie wiedzieliśmy dokładnie, o co chodzi, zresztą nic z tego nie wyszło, chłopaka, który tam poszedł, spalili na Miłej, słyszeliśmy, jak krzyczał cały dzień - czy myślisz, że to może zrobić jeszcze wrażenie na kimś - jeden spalony chłopak po czterystu tysiącach spalonych?

- Myślę, że jeden spalony chłopak robi większe wrażenie niż czterysta tysięcy, a czterysta tysięcy większe niż sześć milionów. Więc nie wiedzieliście dokładnie, o co chodzi...

- On myślał, że nadejdą jakieś posiłki, tłumaczyliśmy: "Daj spokój, tam jest martwy teren, nie przedrzemy się".

Wiesz co?

Myślę, że on w gruncie rzeczy wierzył w jakieś zwycięstwo.

Oczywiście nigdy przedtem nie mówił o tym. Przeciwnie. "Idziemy na śmierć - wołał - nie ma odwrotu, zginiemy dla honoru, dla historii..." - takie tam różne rzeczy się w takich wypadkach przecież mówi. Ale dziś myślę sobie, że on przez cały czas żywił jakąś dziecianną nadzieję.

Miał dziewczynę. Taką ładną, jasną, ciepłą. Mira się nazywała.

Siódmego maja był z nią u nas, na Franciszkańskiej.

Ósmego maja, na Miłej, zastrzelił najpierw ją, potem siebie. Jurek Wilner krzyknął: "Zginiemy razem", Lutek Rotblat zastrzelił swoją matkę i siostrę, potem już wszyscy zaczęli strzelać, kiedy żeśmy się przedarli tam, znaleźliśmy kilku żywych, osiemdziesięciu popełniło samobójstwo. "Tak właśnie powinno się było stać" - powiedziano nam potem. "Zginął naród, zginęli jego żołnierze. Symboliczna śmierć". Tobie też pewnie takie symbole się podobają?

Była tam z nimi dziewczyna. Ruth. Siedem razy strzelała do siebie, zanim trafiła. Taka ładna, duża dziewczyna z brzoskwiową cerą, ale zmarnowała nam sześć naboju.

W tym miejscu jest skwer. Kopiec, kamień, napis. Jak jest pogoda, przychodzą matki z dziećmi albo wieczorem chłopcy z dziewczynami - to jest właściwie zbiorowy grób, bo nigdy nie wydobyliśmy kości.

- Miałeś czterdziestu żołnierzy. Nie przyszło wam nigdy na myśl, żeby zrobić to samo?

- Nigdy. Tego nie należało robić. Mimo że to bardzo dobry symbol. Nie poświęca się życia dla symboli. Nie miałem w tej sprawie wątpliwości. W każdym razie - przez dwadzieścia dni. Potrafiłem sam dać w mordę, jak ktoś zaczynał mi histeryzować. W ogóle wiele rzeczy potrafiłem wtedy. Stracić pięciu ludzi w walce i nie czuć wyrzutów sumienia. Położyć się spać, kiedy Niemcy drażyli dziury, żeby wysadzić nas w powietrze - wiedziałem po prostu, że my nie mamy tu nic do roboty. Dopiero jak poszli na obiad o dwunastej - myśmy szybko zrobili co trzeba, żeby się przedrzeć. (Nie denerwowałem się - pewnie dlatego, że właściwie nic nie mogło się zdarzyć. Nic większego niż śmierć, zawsze chodziło przecież o śmierć, nigdy o życie. Być może tam wcale nie było dramatu. Dramat jest wtedy, kiedy możesz podjąć jakąś decyzję, kiedy coś zależy od ciebie, a tam wszystko było z góry przesądzone. Teraz, w szpitalu, chodzi o życie - i za każdym razem muszę podejmować decyzję. Teraz się denerwuję znacznie bardziej.)

I jeszcze coś potrafiłem. Powiedzieć chłopcu, który prosił mnie o adres po aryjskiej stronie: "Nie czas. Jeszcze za wcześnie". Stasiek nazywał się... Widzisz, nie pamiętam nazwiska. "Marek - (mówił) - przecież jest Tam jakieś miejsce, dokąd mógłbym pójść..." Miałem mu powiedzieć, że nie ma takiego miejsca? Więc powiedziałem: "Jeszcze za wcześnie..."

- Czy zza muru widać było coś po aryjskiej stronie?

- Tak. Mur sięgał tylko pierwszego piętra. Już z drugiego widziało się Tamtą ulicę. Widzieliśmy karuzelę, ludzi, słyszeliśmy muzykę i strasznie żeśmy się bali, że ta muzyka zagłuszy nas i ci ludzie niczego nie zauważą, że w ogóle nikt na świecie nie zauważy - nas, walki, poległych... Że ten mur jest tak wielki - i nic, żadna wieść nigdy się o nas nie przedostanie.

Ale powiedzieli z Londynu, że Sikorski nadał pośmiertnie Krzyż Virtuti Militari Michałowi Klepfiszowi. Temu chłopakowi, który na naszym strychu zasłonił sobą karabin maszynowy, żebyśmy się mogli przedrzeć.

Inżynier, dwadzieścia parę lat. Wyjątkowo udany chłopak.

Odparliśmy atak dzięki niemu - i zaraz potem właśnie przyszli ci trzej z białą kokardą. Parlamentariusze.

Tu stałem. Dokładnie tu, tylko brama była wtedy drewniana. Słupek betonowy był ten sam, barak, i chyba nawet te topole.

Czekaj, dlaczego właściwie stałem zawsze z tej strony?

Aha, bo z tamtej szedł tłum. Bałem się pewnie, żeby mnie nie zgarnęli.

Byłem wtedy gońcem w szpitalu i to była moja praca: stać przy bramie na Umschlagplatzu i wyprowadzać chorych. Nasi ludzie wyławiali tych, których należało uratować, a ja ich, jako chorych, wyprowadzałem.

Byłem bezwzględny. Jedna kobieta błagała, żebym wyprowadził jej czternastoletnią córkę, ale ja mogłem zabrać tylko jedną osobę, więc zabrałem Zosię, która była naszą najlepszą łączniczką. Cztery razy ją wyprowadzałem i za każdym razem z powrotem ją zgarniali.

Kiedyś pędzili koło mnie ludzie, którzy nie mieli numerków życia. Niemcy rozdali te numerki i tym, którzy je otrzymali, obiecano przetrwanie. Całe getto miało wtedy jeden jedyny cel: zdobyć numerki. Ale później przyszli i po tych z numerkami.

Z kolei ogłoszono, że mają prawo do życia pracownicy fabryk - potrzebne tam były maszyny do szycia, ludziom zdawało się więc, że maszyny do szycia uratują im życie i płacili za nie każde pieniądze. Ale potem przyszli i po tych z maszynami.

Wreszcie ogłosili, że dają chleb. Wszystkim, którzy się zgłoszą na roboty, po trzy kilo chleba i marmoladę.

Słuchaj, moje dziecko. Czy ty wiesz, czym był wtedy chleb w getcie? Bo jak nie wiesz, to nigdy nie zrozumiesz, dlaczego tysiące ludzi mogło dobrowolnie przyjść i z chlebem jechać do Treblinki. Nikt przecież tego dotąd nie rozumiał.

Tutaj rozdawali, w tym miejscu. Podłużne, rumiane bochenki sitka.

I wiesz co?

I ludzie szli, porządnie, czwórkami, po ten chleb, a potem do wagonu. Chętnych było tylu, że musieli w kolejce stać, dwa transporty dziennie już trzeba było odprawiać do Treblinki - i jeszcze nie mogły pomieścić wszystkich, którzy się zgłaszali.

Owszem, my - wiedzieliśmy.

Posłaliśmy w czterdziestym drugim roku kolegę, Zygmunta, żeby zorientował się, co się dzieje z transportami. Pojechał z kolejarzami z Dworca Gdańskiego. W Sokołowie powiedzieli mu, że tu linia się rozdwaja, jedna bocznica idzie do Treblinki, codziennie jedzie tam pociąg towarowy załadowany ludźmi i wraca pusty, żywności nie dowozi się.

Zygmunt wrócił do getta, napisaliśmy o wszystkim w naszej gazetce - i nie uwierzyli. "Oszaleliście?" - mówili, kiedy próbowaliśmy ich przekonać, że to nie do pracy ich wiozą. "Posłano by nas na śmierć z chlebem? Tyle chleba zmarnowaliby?!"

Akcja trwała od dwudziestego drugiego lipca do ósmego września 1942, sześć tygodni. Przez te sześć tygodni stałem przy bramie. Tu, w tym miejscu. Odprowadziłem czterysta tysięcy ludzi na ten plac. Widziałem ten sam betonowy słupek, który teraz widzisz.

W tej szkole zawodowej mieścił się nasz szpital. Zlikwidowali go ósmego września, ostatniego dnia akcji. Na górze było kilka sal z dziećmi, kiedy Niemcy weszli na parter, lekarka zdążyła podać dzieciom truciznę.

No widzisz, jak ty nic z tego nie rozumiesz. Przecież ona uratowała je od komory gazowej, to było nadzwyczajne, ludzie uważali ją za bohaterkę.

W tym szpitalu chorzy leżeli na podłodze, czekając na załadowanie do wagonu, a pielęgniarki wyszukiwały w tłumie swoich ojców i matki i wstrzykiwały im truciznę. Tylko dla najbliższych tę truciznę chowały - a ona - ta lekarka - swój cyjanek oddała obcym dzieciom!

Jeden tylko człowiek mógł powiedzieć głośno prawdę: Czerniaków. Jemu uwierzyliby. Ale on popełnił samobójstwo.

To nie było w porządku: należało umrzeć z fajerwerkiem. Wtedy ten fajerwerk był bardzo potrzebny - należało umrzeć, wezwawszy przedtem ludzi do walki.

Właściwie tylko o to mamy do niego pretensję.

- "My"?

- Ja i moi przyjaciele. Ci nieżyjący. O to, że uczynił swoją śmierć własną, prywatną sprawą.

My wiedzieliśmy, że trzeba umierać publicznie, na oczach świata.

Różne mieliśmy pomysły. Dawid mówił, żeby się rzucić na mury - wszyscy, ilu nas zostało w getcie, przedrzeć się na stronę aryjską, usiąść na wałach Cytadeli, rzędami, jeden nad drugim, i czekać, aż gestapowcy obstawią nas karabinami maszynowymi i rozstrzelają po kolei, rząd za rządem.

Eстера chciała podpalić getto, żebyśmy wszyscy spłonęli razem z nim. "Niech wiatr rozniesie nasze popioły" - mówiła, ale wtedy to nie brzmiało patetycznie, tylko rzeczowo.

Większość była za powstaniem. Przecież ludzkość umówiła się, że umieranie z bronią jest piękniejsze niż bez broni. Więc podporządkowaliśmy się tej umowie. Było nas wtedy w ŻOB-ie już tylko dwustu dwudziestu. Czy to w ogóle można nazwać powstaniem? Chodziło przecież o to, żeby się nie dać zarżnąć, kiedy po nas z kolei przyszli.

Chodziło tylko o wybór sposobu umierania.

Tym wywiadem, przetłumaczonym na różne obce języki, ludzie byli oburzeni do żywego i pan S., pewien literat, pisze mu ze Stanów, że musiał go wziąć w obronę. Trzy długie artykuły napisał, żeby to wzburzenie uśmierzyć, a tytuł brzmiał: "Wyznanie ostatniego dowódcy getta warszawskiego".

Ludzie posyłali w tej sprawie listy do gazet - po francusku, angielsku, żydowsku i w innych jeszcze europejskich językach - że tak odarł wszystko z wielkości, ale najbardziej

chodziło im przecież o ryby. Te, którym Anielewicz malował skrzela na czerwono, żeby matka mogła sprzedać na Solcu wczorajszy towar.

Anielewicz - syn handlarki, malujący na czerwono skrzela ryb, tego jeszcze tylko brakowało. Więc ów literat nie miał łatwego zadania, ale jeszcze i pewien Niemiec ze Stuttgartu napisał mu miły list.

“Sehr geehrter Herr Doktor - pisał ów Niemiec, a przebywał on podczas wojny w warszawskim getcie jako żołnierz Wehrmachtu - widziałem tam ciała ludzi na ulicach, dużo ciał przykrytych papierami, pamiętam, to było okropne, obaj jesteśmy ofiarami tej okropnej wojny, czy mógłby pan napisać do mnie parę słów?”

Oczywiście, odpisał, bardzo mu miło i doskonale rozumie uczucia młodego niemieckiego żołnierza, który po raz pierwszy widzi ciała przykryte papierami.

Ta historia z literatem, panem S., zaraz mu przypomniała podróż do USA w sześćdziesiątym trzecim roku. Zawieziono go na spotkanie z przywódcami związków. Pamięta - stoi stół i siedzi ze dwudziestu panów. Skupione, przejęte twarze: prezesi związków zawodowych, które podczas wojny dawały pieniądze dla getta na broń.

Przewodniczący wita go i rozpoczyna się dyskusja. O pamięci. Co to jest ludzka pamięć i czy trzeba pomniki stawiać, czy gmach, takie jakieś dylematy literackie. Bardzo się więc pilnował, żeby czegoś niestosownego nie chlapnąć, czegoś w rodzaju: “A jakie to ma znaczenie dzisiaj?” Nie miał prawa robić im takiej przykrości. “Ostrożnie - powtarzał sobie - uważaj, oni już mają lzy w oczach. Oni dawali pieniądze na broń i do prezydenta Roosevelta chodzili, żeby zapytać, czy to prawda, co opowiadają o tych wszystkich historiach w getcie - więc musisz być dla nich dobry”.

(To było pewnie po jednym z pierwszych raportów zrobionych przez “Wacława”, zaraz po tym, jak Tosia Goliborska wykupiła go z gestapo za swój dywan perski, raport został przewieziony przez kuriera w zębie pod plombą jako mikrofilm i trafił przez Londyn do USA, ale im było trudno uwierzyć w te tysiące przerobionych na mydło i w te tysiące pędzonych na Umschlagplatz, więc poszli do swego prezydenta zapytać, czy można poważnie traktować takie rzeczy.)

Był dla nich zatem bardzo dobry, pozwalał im się wzruszać i mówić o pamięci, a teraz tak ich wszystkich boleśnie dotknął: “Czy to można nazwać powstaniem?”

Wracając do ryb. W przekładzie francuskim, w tygodniku “l'Express” to nie były ryby, tylko “du poisson”, a matka Anielewicza, ta żydowska handlarka z Solca, kupowała “un petit pot de peinture rouge”. No - czy to w ogóle da się traktować poważnie? Czy Anielewicz kładący “peinture rouge” na skrzela (les ouies) to jeszcze jest Anielewicz?

Przypomina to próbę opowiedzenia kuzynom angielskim o babci, która umierała z

głodu w warszawskim powstaniu. Tuż przed śmiercią ta pobożna staruszka prosiła o coś do jedzenia, trudno, niech nie będzie koszerne, mówiła, niech już będzie nawet wieprzowy kotlet.

Ale to należało angielskim kuzynom powiedzieć po angielsku, więc babcia prosiła nie o kotlet, tylko o "pork-chop" i na szczęście od razu przestała być tamtą umierającą babcią. Na szczęście - bo można już było opowiadać o niej bez hysterii, spokojnie, tak jak się opowiada przy kulturalnym, angielskim obiedzie różne zajmujące kawałki.

A oni upierają się, że to jednak był prawdziwy Anielewicz, ten z "peinture rouge". Coś w tym chyba musi być, skoro tylu ludzi się upiera. I piszą, że takich rzeczy nie wolno opowiadać o Komendancie.

Słuchaj - mówi - będziemy musieli teraz uważać. Będziemy starannie dobierali słów.

Ależ tak.

Będziemy bardzo starannie dobierali słów i postaramy się niczym ludzi nie zranić.

Któregoś dnia dzwoni amerykański literat, pan S. Jest w Warszawie. Widział się z Antkiem i Celiną, ale chce o tym opowiedzieć osobiście.

No - to już jest sprawa poważna. Bo można sobie nic nie robić z tego, co mówią wszyscy na świecie, ale opinii dwojga ludzi lekceważyć nie można, a tymi ludźmi są właśnie Celina i Antek. Zastępca Anielewicza, przedstawiciel ŻOB-u po aryjskiej stronie, który wyszedł z getta tuż przed wybuchem powstania, i Celina, która była z nimi w getcie cały czas, od pierwszego dnia do wyjścia kanałami.

Do tej pory Antek milczał. A teraz przyjeżdża pan S. i mówi, że widział go przed tygodniem.

Odnoszę wrażenie, że Edelman trochę się denerwuje przed tym spotkaniem. Jak się okazuje - niepotrzebnie. Pan S. mówi, że Antek zapewnia go o swojej przyjaźni i szacunku i aprobejuje, poza pewnymi szczegółami, cały wywiad.

"Poza jakimi szczegółami?" - pytam pana S.

Na przykład Antek mówił, że ich nie było dwustu w powstaniu. Ich było więcej, pięciuset, sześciuset nawet.

(Antek twierdzi, że was było sześciuset. Może poprawimy tę liczbę?

- Nie - powiada. - Nas było dwustu dwudziestu.

- Ale Antek chce, pan S. chce, wszyscy tak bardzo chcą, żeby was było choć trochę więcej... Poprawimy?

- Przecież to jest bez znaczenia - mówi ze złością. - Czy wy wszyscy naprawdę nie możecie zrozumieć, że to już jest bez znaczenia?!

Aha, i jeszcze coś. No naturalnie: jeszcze sprawa ryb.

To nie Anielewicz malował je, tylko jego matka. "Niech pani to sobie zanotuje - mówi mi pan S., literat - bo to jest bardzo ważne".

Wracam do sprawy rozważnego dobierania słów.

W trzy dni po wyjściu z getta przyszedł Celemeński i zaprowadził go do przedstawicieli partii politycznych, którzy chcieli wysłuchać sprawozdania o powstaniu. Był jedynym żyjącym członkiem sztabu powstańczego i zastępcą Komendanta, więc złożył raport: "Przez te dwadzieścia dni - mówił - można było zabić więcej Niemców i więcej swoich ocalić. Ale - mówił - nie byli wyszkoleni należycie i nie umieli prowadzić walki. Poza tym - mówił - Niemcy też potrafili się dobrze bić".

A tamci patrzyli po sobie w głębokim milczeniu i wreszcie jeden z nich rzekł: "Trzeba go zrozumieć, to nie jest normalny człowiek. To jest strzęp człowieka".

Bowiem okazało się, że on nie mówił tak, jak należy mówić.

"A jak należy mówić?" - zapytał.

Należy mówić z nienawiścią, patosem, krzycząc - nie ma innych sposobów wyrażenia tego wszystkiego niż krzyk.

Więc on się od razu nie nadawał do mówienia, bo nie umiał krzyczeć. Nie nadawał się też na bohatera, bo nie było w nim patosu.

Cóż to za prawdziwy pech.

Ten jedyny, który przeżył, nie nadaje się na bohatera.

Zrozumiawszy to, taktownie zamilkł. Milczał dość długo, bo przez trzydzieści lat, a jak przemówił wreszcie, to zaraz stało się jasne, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby nie przerywał milczenia.

Na spotkanie z przedstawicielami partii jechał tramwajem, po raz pierwszy od wyjścia z getta jechał tramwajem i stała się z nim wtedy straszna rzecz. Zapragnął nie mieć twarzy. Ale nie dlatego, że ktoś zwróci uwagę na niego i go wyda, tylko poczuł, że ma odrażającą, czarną twarz. Twarz z plakatu - Żydzi - Wszy - Tyfus Plamisty. A tu wszyscy stoją dookoła i mają jasne twarze. Są ładni, spokojni, mogą być spokojni, bo są świadomi swojej jasności i urody.

Wysiadł na Żoliborzu, przy domkach, ulica była pusta i tylko jedna starsza pani podlewała kwiaty w ogródku. Popatrzyła na niego zza siatki, a on starał się tak iść, żeby go prawie nie było, żeby jak najmniej miejsca zająć w tej słonecznej przestrzeni.

Pokazywali dziś w telewizji Krystynę Krahełską. Też miała jasne włosy. Pozowała Nitschowej do pomnika Syreny, pisała wiersze, śpiewała dumki i zginęła w warszawskim powstaniu wśród słoneczników.

Jakaś pani opowiadała o niej - że biegła przez ogrody, a była tak wysoka, że nie mogła, nawet pochylona, w tych słonecznikach się schronić.

Jest więc ciepły, sierpniowy dzień. Ona upięła sobie z tyłu te długie jasne włosy. Napisała "Hej, chłopcy, bagnet na broń", opatrzyła rannego, a teraz biegnie w słońcu.

Cóż to za piękne życie i piękna śmierć. Prawdziwie estetyczna śmierć. Tylko tak należy umierać. Ale tak żyją i umierają piękni i jaśni ludzie. Czarni i brzydcy żyją i umierają nieefektywnie: w strachu i ciemności.

(U tej, która opowiada o Krahelskiej, można by się ewentualnie ukrywać. Jest nie umalowana, nie była u fryzjera, na pewno - tego nie widać w telewizji - jest za szeroka w biodrach i po górach chodzi z przewiązaniem w pasie swetrem. Mąż by nawet nie musiał wiedzieć, że ona tu kogoś ukrywa, tylko trzeba by się pilnować i po południu, między trzecią trzydzieści i czwartą, nie zajmować ubikacji. On ma bardzo uregulowany żołądek i korzysta z toalety zaraz po przyjściu, jeszcze przed obiadem.)

Czarni i brzydcy leżą osłabli z głodu w wilgotnej pościeli i czekają, aż ktoś przyniesie im owies na wodzie albo coś ze śmietnika. Wszystko jest tam szare - twarze, włosy, pościel. Oszczędnie palą karbidówkę. Ich dzieci wrywają na ulicy przechodniom paczki z rąk w nadziei, że tam jest chleb, i natychmiast wszystko pożerają. W szpitalu dają spuchniętym z głodu dzieciom po pół jajka w proszku i po pastylce cebionu dziennie - to już dzielą lekarze, bo nie można narażać salowej, która też jest spuchnięta, na mękę dzielenia. (Tylko biały personel szpitalny ma przydział żywności: po pół litra zupy i sześć deka chleba na osobę. Na specjalnym zebraniu postanowiono zrezygnować z dwustu gramów zupy i dwóch deka chleba i podzielić to wśród palaczy i salowych. W ten sposób wszyscy mieli jednakowo: po trzysta gramów zupy i cztery deka chleba na osobę.) Na Krochmalnej 18 trzydziestoletnia kobieta, Rywka Urman, odgryzła kawałek swojego dziecka, Berka Urmana, lat dwanaście, zmarłego z głodu poprzedniego dnia. Ludzie otaczali ją na podwórku w ciszy, w całkowitym milczeniu. Miała szare, potargane włosy, szarą twarz i obłąkane oczy. Potem przyjechała policja i spisała protokół. Na Krochmalnej 14 znaleziono na ulicy zwłoki dziecka w stanie rozkładu, podrzucone przez matkę, Chudęsę Borensztajn, numer mieszkania 67, dziecku było na imię Moszek. (Wózek pogrzebowy Towarzystwa "Wieczność" zabrał zwłoki, a Borensztajn Chudesa zeznała, że podrzuciła je na ulicy, bo gmina nie chce chować bez pieniędzy, zresztą ona też niedługo umrze.) Ludzi prowadzi się do łaźni na odwszenie. Przed łaźnią na Spokojnej ludzie czekali na ulicy dzień i noc, a kiedy rano przywieziono zupę tylko dla dzieci, trzeba było sprowadzić policję, żeby odgoniła tłum, który wrywał tym dzieciom jedzenie.

Śmierć z głodu była równie nieestetyczna jak życie.

“Niektórzy zasypiają na ulicy z kęsem chleba w ustach lub w czasie próby wysiłku fizycznego, na przykład w czasie biegu za zdobyciem chleba”.

To jest fragment pracy naukowej.

Lekarze w getcie prowadzili badania nad głodem, bowiem mechanizm śmierci głodowej był wtedy dla medycyny niejasny i należało wykorzystać nadarzącą się szansę. Szansa była wyjątkowa: “Jeszcze nigdy - pisali - medycyna nie dysponowała tak obfitym materiałem badawczym”.

Jest to dla lekarza interesujący problem i dziś.

- Na przykład - mówi doktor Edelman - problem naruszenia w organizmie równowagi między wodą i białkiem. Czy oni tam piszą coś o elektrolitach? - pyta. - Wraz z wodą uchodzi do tkanki łącznej potas i sól. Sprawdź, czy wpadali na trop roli białka.

Nie, o elektrolitach nie piszą nic. Stwierdzają z rozczarowaniem, że nie udało im się wyjaśnić tak ciekawego dla lekarza mechanizmu powstawania obrzęków w chorobie głodowej.

Może wpadliby na trop roli białka, gdyby nie musieli przerwać nagle pracy, ale przerwali ją, niestety, z czego usprawiedliwiają się we wstępie. Nie mogli kontynuować badań, “gdyż uległ zniszczeniu surowiec naukowy - materiał ludzki”. Zaczęła się likwidacja getta.

Zaraz po zniszczeniu surowca zginęli zresztą i badacze.

Żyje tylko jeden z nich: dr Teodozja Goliborska. Badała przemianę spoczynkową materii u ludzi głodnych.

Pisze mi z Australii, że wiedziała wprawdzie z literatury, iż przemiana spoczynkowa w głodzie jest obniżona, ale nie myślała, że aż tak bardzo, i wiąże to z mniejszą liczbą oddechów oraz zmniejszoną ich głębokością, więc z niewielką ilością tlenu zużywanego w stanie głodu przez ustrój.

(Pytam dr Goliborską, czy przydały się jej później, jako lekarzowi, te badania. Pisze, że nie, bo wszyscy ludzie, których leczyła w Australii, byli syci, a nawet przekarmieni.)

A oto i niektóre rezultaty badań przedstawione w pracy “Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim w 1942 roku”.

Rozróżniamy trzy stopnie wychudzenia: I stopień, w którym ma miejsce utrata nadmiaru tłuszczu. Wygląda się wtedy młodziej niż zwykle. “Spotykaliśmy się z tym objawem często w okresie przedwojennym po powrocie pacjentów z Karlsbadu, Vichy itd.” Do II stopnia wychudzenia należą prawie wszystkie spostrzegane przez nas przypadki. Wyjątek stanowią przypadki III stopnia w postaci cherlactwa głodowego, będącego

najczęściej stanem przedśmiertnym.

Przejdźmy do opisu zmian w poszczególnych układach i narządach.

Waga wynosiła przeciętnie od 30 do 40 kg i była niższa o 20-25 proc. od wagi przedwojennej. Najniższa waga wynosiła 24 kg u kobiety trzydziestoletniej.

Skóra jest blada, nieraz bladolina.

Paznokcie, szczególnie u rąk, są szponowate...

(Może nazbyt szczegółowo mówimy o tym i za długo, ale to dlatego, że koniecznie trzeba zrozumieć, jaka jest różnica między pięknym życiem a życiem nieestetycznym i między piękną a nieestetyczną śmiercią. To jest ważne. Wszystko, co nastąpiło później - co nastąpiło dziewiętnastego kwietnia 1943 roku - było przecież tęsknotą za pięknym umieraniem.)

Obrzęki stwierdza się najpierw na twarzy w okolicy powiek, na stopach, wreszcie u niektórych równomierny obrzęk całych powłok skórnych. Po nakłuciu łatwo wydobywa się z tkanki podskórnej płyn. Wczesną jesienią stwierdza się skłonność do odmrażania palców dłoni i stóp.

Twarz jest bez wyrazu, maskowata.

Stwierdza się bardzo obfity meszek na całym ciele, zwłaszcza u kobiet, na twarzy w kształcie wąsów i bokobrodów, czasami owłosienie powiek. Poza tym stwierdza się długie rzęsy...

Stan psychiczny charakteryzuje się ubóstwem myśli.

Z czynnych, energicznych, ludzie zmieniają się w apatycznych i ospałych. Są prawie zawsze senni. O głodzie nie pamiętają, nie zdają sobie sprawy z jego istnienia, jednakże na widok chleba, słodczy lub mięsa stają się nagle agresywni, pożerają go łapczywie, mimo że narażają się na bicie, od którego nie umieją się bronić ucieczką.

Przejście od życia do śmierci jest powolne, prawie niedostrzegalne. Śmierć jest podobna do śmierci fizjologicznej ze starości.

Materiał sekcyjny. (Uwzględniono sekcje całkowite w liczbie 3282.)

Barwa skóry u osób zmarłych z głodu: blada lub trupioblada w 82,5 proc. przypadków, ciemna lub brunatna w 17 proc.

Obrzęki wystąpiły u jednej trzeciej wszystkich poddanych sekcji, najczęściej na kończynach dolnych. Tułów i kończyny górne obrzękały rzadziej. W większości przypadków obrzęki wystąpiły u osobników o skórze bladej. Można dojść do wniosku, że skóra blada towarzyszy obrzękom, a brunatna wyniszczeniom suchym.

Wyjątki z protokołu sekcyjnego (L. prot. sekc. 8613).

“Kobieta, lat 16. Rozpoznanie kliniczne: “Inanitia permagna”. Odżywianie b.

nędzne. Mózg 1300 g, bardzo miękki, obrzękły. W jamie brzusznej ok. 2 litrów płynu przejrzystego żółtawego. Serce - mniejsze od pięści zmarłej”.

Częstość zaniku poszczególnych narządów.

Z reguły zanikowi ulegają - serce, wątroba, nerki i śledziona.

Zanik serca stwierdzono w 83 proc. przypadków, zanik wątroby w 87 proc., zanik śledziony i nerek w 82 proc. Zanikowi ulegają kości, które gąbczeją i mięknią.

Najbardziej zmniejsza się wątroba - z około dwóch kilogramów u zdrowego człowieka do pięćdziesięciu czterech gramów.

Najniższa waga serca wynosiła sto dziesięć gramów.

Mózg prawie się nie zmniejsza i waży nadal około tysiąca trzystu gramów.

W tym samym czasie Profesor był chirurgiem w Radomiu, w szpitalu św. Kazimierza. (Profesor jest wysokim, szpakowatym, dystyngowanym mężczyzną. Ma piękne ręce. Lubi muzykę, sam chętnie grywał na skrzypcach. Zna liczne języki obce. Jego pradziad był napoleońskim oficerem, a dziad powstańcem.)

Do tego szpitala codziennie przywożono jakiegoś rannego partyzanta.

Partyzanci mieli przeważnie przestrelone brzuchy. Tych z postrzałem w głowę trudno było dowieźć do szpitala. Operował więc żołądki, śledziona, pęcherze i jelita grube, trzydzieści, czterdzieści brzuchów potrafił zoperować w ciągu dnia.

Latem czterdziestego czwartego zaczęto dowozić klatki piersiowe, bo powstał przyczółek w Warce. Dużo klatek dowożono, rozerwanych szrapnelem albo odłamkiem granatu, albo kawałkiem framugi wbitej pociskiem w pierś. Wyłaziły z nich płuca i serca, więc trzeba było je jakoś załatać i wepchnąć na miejsce.

A kiedy ruszyła ofensywa styczniowa na zachód - doszły jeszcze i głowy: wojsko miało transport i przywożono rannych na czas.

“Chirurg musi wciąż ćwiczyć palce - mówi Profesor. - Jak pianista. A ja miałem wczesną i bogatą praktykę”.

Wojna jest doskonałą szkołą dla młodego chirurga: Profesor nabrał więc (dzięki partyzantom) kolosalnej wprawy w operowaniu brzucha, dzięki frontowi - w operowaniu głów, ale najważniejsza okazała się Warka.

Podczas wareckiego przyczółka Profesor zobaczył po raz pierwszy otwarte, bijące serce.

Przed wojną nikt nie widział, jak bije serce, nawet u zwierzęcia, a któż by męczył zwierzę, skoro to się i tak nigdy nie przyda medycynie. Dopiero w czterdziestym siódmym po raz pierwszy w Polsce otwarto chirurgicznie klatkę piersiową i zrobił to prof. Crafoord, przybyły specjalnie ze Sztokholmu, ale i on nie otworzył nawet osierdzia. Wszyscy patrzyli

wtedy urzeczony na worek osierdziowy, który poruszał się rytmicznie, jakby w nim było ukryte małe, żywe zwierzątko i tylko on jeden - nie profesor Crafoord wcale, tylko on wiedział dokładnie, jak wygląda to coś, co się w worku niespokojnie porusza. Tylko on bowiem, a nie światowej sławy szwedzki gość, wyciągał z chłopskich serc kawałki szmat, kul i okiennych framug, dzięki czemu zresztą już w pięć lat później, dwudziestego czerwca pięćdziesiątego drugiego roku, potrafił otworzyć serce niejakiej Kwapisz Genowefy i zoperować jej stenozę mitralną.

Istnieje bliski i logiczny związek między sercami spod Warki a wszystkimi innymi, które operował potem, włączając w to, naturalnie, i serce pana Rudnego, majstra z dziedziny maszyn pasmanteryjnych, i serce pani Bubnerowej (której błogosławionej pamięci mąż udzielał się społecznie w gminie wyznania mojżeszowego i dzięki temu była całkiem spokojna przed operacją, a nawet uspokajała lekarzy: "Proszę się nie denerwować - mówiła im - mój mąż ma bardzo dobre stosunki z Panem Bogiem, już on tam na pewno wszystko załatwi jak potrzeba"), i serce pana Rzewuskiego, prezesa Automobilklubu, i wiele, wiele innych serc.

Rudnemu przeszczepiono żyłę z nogi do serca, żeby dać szerszą drogę krwi - w chwili gdy zaczynał się zawał. Rzewuskiemu przeszczepiono taką żyłę, gdy zawał już trwał. Pani Bubnerowej zmieniono kierunek biegu krwi w sercu...

Czy pan Profesor przed taką operacją się boi?

O, tak. Boi się bardzo. Czuje strach tutaj, o, tu, pośrodku.

I za każdym razem ma nadzieję, że w ostatniej chwili stanie się coś, co mu przeszkodzi: interniści zabronią, pacjent się rozmyśli, może nawet on sam ucieknie z gabinetu...

Czego się boi pan Profesor? Pana Boga? O, tak, Pana Boga boi się bardzo, ale nie najbardziejna świecie.

Że pacjent umrze?

Tego też, ale wie - wszyscy wiedzą - że bez operacji umrze i tak, to pewne.

Więc czego się boi?

Boi się, że koledzy powiedzą: On eksperymentuje na człowieku. A to jest najgorsze oskarżenie ze wszystkich, jakie mogą paść.

Lekarze mają swoją komórkę kontroli zawodowej i Profesor opowiada, że pewien chirurg potrafił kiedyś dziecko, zabrał je do samochodu, położył na swoim oddziale i wyleczył. Dzieciak jest zdrowy, matka nie ma pretensji, tylko kontrola zawodowa uznała, że leczenie dziecka na własnym oddziale było sprzeczne z etyką, i udzieliła lekarzowi nagany. Nie mógł wykonywać zawodu i wkrótce zmarł na serce.

Profesor opowiada o tym ot tak. Właściwie bez związku. Ponieważ pytałem, czego lekarz się boi.

Z tą etyką wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, niż ja sobie wyobrażam.

Na przykład: gdyby nie zoperował prezesa Rzewuskiego, to Rzewuski by zmarł. Nie stałoby się wtedy nic szczególnego: tylu ludzi umiera w zawale... Każdy by to zrozumiał bez wyjaśnień.

Gdyby jednak Rzewuski zmarł po operacji - o, to już co innego. Ktoś mógłby wtedy zauważyć, że jednak na świecie takich zabiegów nikt nie robi. Ktoś inny zapytałby, czy Profesor nie jest zbyt lekkomyślny czasem, i to już mogłoby zabrzmieć jak uogólnienie...

Więc teraz będzie nam dużo łatwiej zrozumieć wszystko, o czym myśli Profesor, kiedy siedzi przed zabiegiem w swoim gabinecie, a na bloku operacyjnym zaczyna się koło Rzewuskiego krzątać anestezjolog.

Bo Profesor siedzi już w tym gabinecie od dłuższej chwili, choć prawdę mówiąc, nie jest wcale pewne, czy rzeczywiście chodzi o Rzewuskiego. Na bloku mogą teraz równie dobrze krzątać się wokół Rudnego albo pani Bubnerowej, trzeba jednak przyznać, że przed Rzewuskim Profesor denerwował się najbardziej.

Bowiem Profesor bardzo nie lubi operowania inteligentnych serc. Taki inteligent za dużo przedtem myśli, za dużo ma wyobraźni, wciąż zadaje sobie i innym jakieś pytania, a to odbija się później niekorzystnie na tętnie, ciśnieniu, i w ogóle na przebiegu operacji. Taki człowiek zaś jak Rudny z większą ufnością oddaje się w ręce chirurgów, nie ma zbędnych pytań, toteż i operuje się go znacznie łatwiej.

Więc niech już będzie Rzewuski i niech Profesor siedzi w gabinecie przed operacją, którą ma przeprowadzić na inteligentnym sercu w stanie ostrego zawału, dowiezionym przed paroma godzinami reanimacyjną karetką z warszawskiej kliniki.

Profesor jest zupełnie sam.

Tuż obok, za drzwiami, siedzi na krześle doktor Edelman i pali papierosy.

W czym jest bowiem rzecz?

Rzecz w tym, że to Edelman powiedział, iż można operować Rzewuskiego mimo zawału, i gdyby nie te słowa, nie byłoby całej sprawy.

Nie byłoby i Rudnego zresztą, którego Profesor zoperował, gdy zawał miał nastąpić lada moment, a wszystkie podręczniki kardiologii stwierdzają, że to jest właśnie ten stan, gdy operować nie wolno.

Nie byłoby pomysłu z odwróceniem krwiobiegu pani Bubnerowej (a może nawet i samej pani Bubnerowej by już nie było, która to myśl jednak nie należy w tej chwili do właściwego tematu).

Ponieważ scena w gabinecie Profesora jest dla nas zwykłym pretekstem w końcu, możemy go na moment pozostawić przy tym biurku i wyjaśnić, co właściwie z owym krwiobiegiem się stało.

Otóż podczas jakiejś operacji jeden z asystentów miał wątpliwość, czy Profesor zacisnął tętnicę czy żyłę - to się zdarza czasem, że naczynia są do siebie podobne - wszyscy mówią, że w porządku, tętnica, tylko ten asystent upiera się: "To żyła, na pewno", i po powrocie do domu Edelman zaczyna się zastanawiać, co byłoby, gdyby to była żyła w istocie. I zaczyna szkicować to sobie na papierze: krew utlenioną, która, jak wiadomo ze szkoły, dopływa tętnicami, można by z aorty skierować wprost do żył, które są drożne, bo nie chorują na miażdżycę, więc nie spowodują zawału. Odpłynęłaby zaś ta krew...

Edelman nie jest jeszcze zupełnie pewny, którędy krew teraz by odpłynęła, ale na drugi dzień pokazuje swój rysunek Profesorowi. Profesor rzuca okiem: "Można, panie profesorze, o, wprost tutaj, i mięsień byłby ukrwiony..." - mówi, a Profesor kiwa uprzejmie głową. "Tak, powiada, to bardzo interesujące", bo i co, poza uprzejmością, może okazać komuś, kto mówi mu, że krew do serca mogłaby płynąć nie tętnicą, tylko żyłami.

Edelman wraca do swego szpitala, a Profesor, wieczorem do domu, po czym kładzie sobie ten rysunek na stoliku obok łóżka. Profesor śpi zawsze przy zapalonym świetle, żeby od razu oprzytomnieć, jeśli się zbudzi w nocy, więc i tym razem nie gasi lampy i kiedy się budzi po czterech godzinach snu, od razu może wziąć do ręki kartkę z rysunkiem Edelmana.

Trudno powiedzieć, kiedy Profesor przestaje się przyglądać rysunkowi i zaczyna sam coś sobie szkicować na papierze (szkicuje mianowicie pomost łączący tętnicę główną z żyłami), faktem jednak jest, że któregoś dnia pyta: "No, a co będzie z tą zużytą krwią, gdy żyła przejmie funkcję tętnicy?"

Edelman i Elżbieta Chętkowska odpowiadają mu wtedy, że pewna pani, Ratajczak-Pakalska, robi właśnie doktorat z anatomii żył serca, i z jej badań wynika, że krew zdoła odpłynąć innymi połączeniami żylnymi, Vieussensa i Thebeziusa.

Edelman i Elżbieta robią próbę na sercach trupów - wstrzykują do żył błękit metylenowy, żeby zobaczyć czy odpływa. Odpłynął.

Ale Profesor mówi - i co z tego. Przecież nie było ciśnienia w żyłę.

Wstrzykują więc ten błękit pod ciśnieniem - i znów płyn znajduje sobie ujście.

Ale Profesor mówi - i co z tego. Przecież to jest tylko model. A jak żywe serce się zachowa?

No, na to nie może mu już odpowiedzieć nikt, bo na żywym sercu nikt takich prób jeszcze nie robił. Żeby wiedzieć, jak zachowa się żywe serce, trzeba po prostu na żywym

sercu zrobić operację.

Na czym żywym sercu ma teraz Profesor zrobić operację?

Chwileczkę, zapomnieliśmy o Adze, a Aga właśnie poszła do biblioteki.

Aga Żuchowska chodzi do biblioteki, kiedy pada jakaś nowa myśl. Zanim tam zaś pójdzie, mówi: "Eee, tam". Na przykład Edelman powiada: "Kto wie, czy bajpasów nie można by operować w stanie ostrym". I Aga mówi: "Eee, tam", idzie poczytać, przynosi "American Heart Journal" i triumfuje: "Tutaj piszą, że to nonsens". Po czym robi się bajpas w stanie ostrym i wszystko wychodzi doskonale.

Aga mówi, że kiedy się tak powie "Eee, tam" parę razy, a potem widzi się, że tamten, wbrew wszelkim autorytetom, ma rację, to w końcu człowiek przestaje wzruszać ramionami. Ba, człowiek sam stara się zapomnieć, co te autorytety piszą, tylko usłyszawszy kolejny pomysł, próbuje na to nowe myślenie się przestawić.

Ale wtedy jeszcze dr Żuchowska mawiała "Eee, tam", poszła do biblioteki i przyniosła wiadomość z "Encyklopedia of Thoracic Surgery": Trzydzieści parę lat temu Claud Beck, Amerykanin, robił coś podobnego, ale miał tak dużą śmiertelność, że zaniechał zabiegów...

No, więc na czym żywym sercu?...

Teraz musi nastąpić dygresja o zawale przedniej ściany serca z blokiem prawej gałązki.

To jest bardzo ważne, bo z tego zawału jeszcze nikogo nie udało się im wyciągnąć.

Ludzie umierają wtedy w jakiś szczególny sposób: leżą spokojni, cisi, coraz cichsi i coraz spokojniejsi i wszystko w nich stopniowo, powolutku umiera. Nogi - wątroba - nerki - mózg... Aż któregoś dnia serce zatrzymuje się i człowiek umiera do końca, a staje się to tak cichutko, niepostrzeżenie, że na sąsiednim łóżku nikt nie zauważa nawet.

Kiedy przywozi się na oddział człowieka z zawałem przedniej ściany i blokiem prawej gałązki, to wiadomo, że człowiek ten musi umrzeć.

Więc przywożą któregoś dnia kobietę z takim zawałem. Edelman dzwoni do kliniki, do Profesora. "Ta kobieta za parę dni umrze, uratować ją może tylko odwrócenie krwioobiegu". Ale ta kobieta wcale nie wygląda, jakby miała umrzeć.

Po paru dniach kobieta umiera.

W jakiś czas później przywożą mężczyznę z takim samym zawałem. Dzwonią do Profesora: "Jeżeli nie zrobi pan operacji temu człowiekowi..."

Po paru dniach mężczyzna umiera.

Później jest znowu mężczyzna. Później jakiś młody chłopak, później dwie kobiety...

Profesor przychodzi za każdym razem. Nie mówi już, że ci ludzie może przeżyją

bez operacji. Profesor patrzy w milczeniu albo pyta Edelmana: "Czego pan właściwie chce ode mnie? Czy pan chce, żebym zrobił operację, która nikomu się jeszcze nie udała?..." Na co Edelman odpowiada: "Ja tylko mówię, panie profesorze, że my nie jesteśmy w stanie tego człowieka wyleczyć, a nikt poza panem nie potrafi zrobić tej operacji".

Tak mija rok.

Umiera dwanaście czy trzynaście osób.

Za czternastym razem Profesor mówi: "Dobrze. Spróbujemy".

Wróćmy do gabinetu.

Siedzi, jak pamiętamy, sam, przed nim, na biurku, leżą koronarogramy Rzewuskiego, a Rzewuski leży na bloku operacyjnym.

Po drugiej stronie drzwi, na krześle, siedzi doktor Edelman i pali papierosy.

Najgorsze w owej chwili jest właśnie to, że doktor Edelman tak siedzi na tym krześle i z całą pewnością nie ruszy się stąd.

Dlaczego to jest aż tak bardzo ważne?

Z prostej przyczyny.

Z tego gabinetu jest tylko jedno jedyne wyjście - zablokowane obecnością Edelmana.

A czy Profesor nie mógłby powiedzieć - przepraszam, ja tylko na chwilę - szybciotko przejść koło Edelmana i pójść sobie...?

Owszem, mógłby. Już raz nawet tak zrobił. Przed Rudnym. I co? Wrócił sam, przed wieczorem, Rudny wciąż czekał na niego na bloku operacyjnym, a Edelman z Chętkowską i Żuchowską wciąż siedzieli na krzesłach jego poczekalni.

No, bo i gdzie właściwie można pójść?

Do domu? Zaraz by go znaleźli.

Do któregoś z dzieci? Znaleźliby jutro najdalej.

Wyjechać z miasta? Może... Ale w końcu i tak trzeba będzie wrócić - a wtedy zostanie ich tu wszystkich, i Rzewuskiego, i Edelmana, i Żuchowską... Może zresztą Rzewuskiego już nie zostanie.

Rudny, do którego wtedy, przed wieczorem, wrócił - żyje.

I pani Bubnerowa, ta z krwiobiegim, żyje także.

Prawda, mówiliśmy o krwiobiegu.

"Dobrze, spróbujemy". Na tym skończyliśmy i Profesor przystępuje do operacji. Do tamtej, na sercu pani Bubnerowej, nie płączmy obu tych spraw. To logiczne nawet, że Profesor wspomina teraz tamtą operację: próbuje sobie dodać otuchy.

(Wtedy też wszyscy mówili im: "Przecież to nonsens, przecież to serce zadławi się

krwią...”)

Na sali jest cisza.

Profesor podwiązuje główną żyłę, żeby zatrzymać drogę odpływu krwi i zobaczyć, co będzie się działo...

(Claud Beck nie podwiązywał spływu, co powodowało potem niedomogę prawego serca i śmierć. Profesor poprawia więc tę metodę - nie, nie zgadza się na słowo “poprawia” - zmienia tylko metodę Clauda Becka.)

Czeka...

Serce pracuje normalnie. Łączy teraz aortę główną z żyłami specjalnym pomostem, krew tętnicza zaczyna płynąć do żył.

Znów czeka.

Serce drgnęło. Drugi skurcz. Potem jeszcze parę szybkich skurczów i serce zaczyna pracować powoli, miarowo. Niebieskie żyły stają się czerwone od tętnicznej krwi i zaczynają tętnić, a krew odpływa - nikt nie wie dokładnie, którądy, ale znajduje sobie ujście mniejszymi spływami.

Jeszcze kilkanaście minut w ciszy. Serce wciąż pracuje bez zakłóceń...

Profesor kończy w myśli tamtą operację i uprzytamnia sobie z radością jeszcze raz, że Bubnerowa żyje.

O udanej operacji Rudnego głośno było w całej prasie. O odwróconym krwioobiegu Bubnerowej opowiedział na zjeździe kardiochirurgów w Bad Nauheim i wszyscy wstali z miejsc, i mu klaskali. Profesorowie Borst i Hoffmeister z RFN wyrazili nawet myśl, że metoda ta rozwiąże problem miażdżycy wieńcowej, a chirurdzy z Pittsburga zaczęli, pierwsi w USA, robić te operacje w oparciu o jego metodę. Ale jeśli operacja Rzewuskiego się nie uda - czyż powie ktoś: “A Rudny i Bubnerowa przecież żyją?”

Nie, tego nikt nie powie.

Wszyscy powiedzą natomiast: “Zoperował w stanie zawału, więc Rzewuski umarł przez niego”.

Może w tym miejscu powstać wrażenie, że Profesor stanowczo za długo już siedzi w tym gabinecie i że warto by odrobinę zdynamizować naszą opowieść.

Niestety, próba ucieczki, która niewątpliwie bardzo podniosłaby atrakcyjność całej historii, nie powiodła się. Cóż pozostaje jeszcze?

A prawda. Jeszcze pozostaje Pan Bóg.

Ale nie ten, z którym pobożny Żyd, pan Bubner, załatwił pomyślny przebieg operacji swojej żony.

To jest Pan Bóg, do którego w niedzielę, o jedenastej, w towarzystwie swej

małżonki, trojga dzieci, zięciów, synowej oraz gromadki wnucząt modli się pan Profesor.

W tej chwili Profesor mógłby się pomodlić choćby i w gabinecie - tylko o co?

- No, o co właściwie?

Żeby Rzewuski w ostatniej chwili, już na stole operacyjnym, rozmyślił się i odwołał zgodę na operację? Albo żeby jego żona, płacząca właśnie na korytarzu, nagle odmówiła?

Tak, o to miałyby teraz ochotę pomodlić się Profesor.

Tylko - chwileczkę - odmawiając operacji ten człowiek (Profesor wie o tym dobrze) sam podpisałby wyrok śmierci na siebie. Profesor ma się więc modlić o pewną śmierć dla tamtego?

Tamtych operacji nie robiono przed nim, to prawda, albo robiono je inaczej. Ale i serca przed Barnardem nikt nie przeszczepiał. Więc ktoś w końcu musi spróbować, jeśli ta medycyna w ogóle ma się rozwijać. (Profesor włącza, jak widzimy, motywację społeczną.) A kiedy wolno próbować? Wtedy gdy ma się głęboką pewność, że operacja ma sens. Profesor ma tę pewność. Zabieg przemyślał w najdrobniejszych szczegółach i cała wiedza, jaką posiada, i doświadczenie, i intuicja - wszystko przekonuje go o logice i konieczności tego, co zamierza uczynić. W dodatku - nie ma tu nic do stracenia. Wie, że bez tej operacji człowiek i tak umrze. (Czy bez tej operacji Rzewuski umrze na pewno?)

Woła internistów.

- Czy Rzewuski umrze, jeśli go nie zoperuję? - pyta setny raz.

- To jest drugi zawał, panie profesorze. Drugi, rozległy zawał.

- To w takim razie i operacji nie przetrzyma... Po co go dodatkowo męczyć?

- Panie profesorze. Jego przywieźli z Warszawy nie po to, by zmarł, tylko żebyśmy go uratowali.

To powiedział doktor Edelman. Och, doktor Edelman może takie rzeczy mówić. W razie czego to nie do niego będą mieli pretensje.

Edelman jest święcie przekonany o swojej racji. Profesor jest też o niej przekonany, ale to Profesor, tylko Profesor musi tę rację sprawdzić swoimi rękami.

- Dlaczego - pytam - byłeś tak przekonany, że należy robić te operacje?

- Bo byłem. Bo widziałem, że mają sens i że muszą się udać.

- Słuchaj - mówię - a czy nie dlatego tak łatwo decydujesz się na takie rzeczy, bo jesteś oswojony ze śmiercią...? Bo jesteś z nią o wiele bardziej oswojony niż na przykład Profesor?

- Nie - mówi. - Mam nadzieję, że nie dlatego. Tylko - kiedy się dobrze zna śmierć, to ma się większą odpowiedzialność za życie. Każda, najmniejsza nawet szansa życia

staje się bardzo ważna.

(Szansa śmierci była tutaj za każdym razem. Chodziło o stworzenie szansy życia.)

Uwaga. Profesor wprowadza teraz nową postać. Docent Wróblównę.

- Poproście docent Wróblównę - mówi.

Wszystko jasne.

Docent Wróblówna to starsza, nieśmiała, ostrożna pani, kardiolog z kliniki Profesora. Już ona na pewno nie doradzi mu nic niestosownego, żadnego ryzyka. Profesor zapyta: "No i co, pani Zofio? Co pani mi radzi zrobić?" A pani Zofia powie: "Najlepiej zaczekać, panie profesorze, przecież nie wiemy, jak takie serce się zachowa..." i wtedy Profesor zwróci się do Edelmana: "No, widzi pan, panie doktorze. Moi kardiolodzy mi nie pozwalają!" (Na słowie "moi" położy nacisk, bowiem docent Wróblówna jest z jego kliniki, a doktor Edelman z miejskiego szpitala. Ale może mi się tylko tak wydaje. Może powie to zwyczajnie, bez żadnego nacisku. I słowo "moi" będzie znaczyło tyle tylko, że Profesor, kierownik kliniki, musi liczyć się ze swymi lekarzami.)

No i docent Wróblówna wchodzi. Nieśmiała, rumieni się, spuszcza wzrok. I mówi cichutko:

- Trzeba operować, panie profesorze.

No, nie. No, to już jest szczyt wszystkiego.

- Wróblówna! - woła Profesor. - I ty przeciwko mnie?!

Udaje, że mówi to żartem, ale opanowuje go dziwaczne uczucie, które go już dziś nie opuści do końca.

Wstając zza biurka, zgarniając koronarogramy i idąc na blok, na którym czeka uśpiony Rzewuski, i chirurdzy w błękitnych maskach, i siostry instrumentariuszki - będzie miał wrażenie, jakby był zupełnie sam, mimo obecności tych wszystkich ludzi.

Sam na sam z sercem, które porusza się w swoim worku jak małe przerażone zwierzątko.

Wciąż jeszcze się porusza.

Wszystko co napisałam dotąd, pokazałam ludziom - a oni nie rozumieją. Dlaczego nie opowiedziałam, jak się uratował? Nie wiadomo jeszcze, jak się uratował, a już czeka pod drzwiami Profesora. A przecież on musi czekać, gdyby go tam nie było, to Profesor byłby już dawno w domu, w połowie dziennika telewizyjnego, odprężony i zupełnie spokojny.

Musi więc czekać pod tymi drzwiami, z Agą i Elżbietą Chętkowską. Chociaż Elżbiety już nie ma. To znaczy - jest, kiedy tam siedzą i czekają, ale nie ma jej, gdy piszę o ich czekaniu. Pozostała nagroda imienia dr Elżbiety Chętkowskiej, którą będą

przyznawali za wybitne osiągnięcia z zakresu kardiologii.

Ufundowali tę nagrodę z honorariów za pracę "Zawał serca". W tamtej pracy, o chorobie głodowej, nie mógł brać udziału, bo w szpitalu w getcie był ledwie gościem, ale w tej opisał wszystko, czego się dowiedział o ludziach chorych na serce. Tosia Goliborska mówiła mi, że w szpitalu domyślali się jego innych zajęć, o które nie należało pytać, więc nie wymagali od niego wiele, tyle że codziennie odnosił do san.-epid.-u krew chorych na tyfus, a później mógł już zająć miejsce przy wejściu na Umschlagplatz i stać tam codziennie przez sześć tygodni, aż te czterysta tysięcy ludzi przejdzie obok niego w drodze do wagonów.

W filmie "Requiem dla 500.000" widać, jak idą. Widać nawet bochenki chleba, które trzymają w rękach. Niemiecki operator stanął w drzwiach wagonu i stamtąd fotografował biegnący tłum, potykające się stare kobiety, matki ciągnące dzieci za rękę. Biegają z tym chlebem w naszą stronę i w stronę dziennikarzy szwedzkich, którzy przyjechali szukać materiałów o getcie, biegają w stronę Inger, szwedzkiej dziennikarki, która patrzy na ekran zdziwionymi niebieskimi oczami, starając się zrozumieć, dlaczego tylu ludzi biegnie do wagonu - i rozlegają się strzały. Cóż to była za ulga, kiedy zaczęli strzelać. Cóż to była za ulga, gdy wybuchy z ziemi przesłoniły biegnących ludzi i ich chleb, a spiker poinformował o wybuchu powstania, co można już było rzeczowo wyjaśnić Inger (rising's broken out, April forty three)...

Mówię mu o tym - i mówię - że to był naprawdę dobry pomysł z tym strzelaniem. Dobrze, że wybuchy zasłoniły ludzi - a on wtedy zaczyna krzyczeć. Krzyczy, że ja pewnie uważam biegnących do wagonu za gorszych od tych, którzy strzelają, no jasne, na pewno tak uważam, przecież tak uważają wszyscy, a to jest bzdura, śmierć w komorze gazowej nie jest gorsza od śmierci w walce, na odwrót (krzyczy), jest trudniejsza, o ileż łatwiej ginie się strzelając, o ileż łatwiej było umierać im niż matce Poli Lifszyc... W porządku, mówię. O ileż łatwiej patrzy się na ich śmierć, kiedy strzelają, niż na idącą do wagonu matkę Poli.

- Widziałam kiedyś na Żelaznej zbiegowisko. Ludzie tłoczyli się na ulicy dookoła beczki - zwyczajnej drewnianej beczki, na której stał Żyd. Był stary, niski i miał długą brodę.

Przy nim stało dwóch niemieckich oficerów. (Dwóch pięknych, rosnących mężczyzn przy małym, zgarbionym Żydzie.) I ci Niemcy wielkimi krawieckimi nożycami obcinali Żydowi po kawałeczku jego długą brodę, zaśmiewając się do rozpuku.

Tłum, który ich otaczał, też się śmiał. Bo obiektywnie było to naprawdę śmieszne: mały człowieczek na drewnianej beczce z coraz krótszą brodą, ginącą pod krawieckimi nożycami. Jak gag filmowy.

Nie było jeszcze getta, więc w tej scenie nie czuło się grozy. Z Żydem przecież nic strasznego się nie działo: tyle że można go było bezkarnie na tej beczce postawić, że ludzie zaczęli już rozumieć, że to jest bezkarne i że budził śmiech.

Wiesz co?

Wtedy zrozumiałem, że najważniejsze ze wszystkiego jest nie dać się wepchnąć na beczkę. Nigdy, przez nikogo. Rozumiesz?

Wszystko, co robiłem potem - robiłem dlatego, żeby nie dać się wepchnąć.

- To był początek wojny i jeszcze mogłeś wyjechać. Twój kolezdy uciekali wtedy przez zieloną granicę tam, gdzie nie było beczek...

- To byli inni ludzie. To byli wspaniali chłopcy z kulturalnych domów. Świetnie się uczyli, mieli telefony w mieszkaniach i wisiły tam piękne obrazy. Oryginały, nie reprodukcje żadne. Ja byłem przy nich niczym. Nie należałem do towarzystwa. Uczyłem się gorzej, śpiewałem brzydziej, nie umiałem jeździć na rowerze i nie miałem domu, bo moja matka umarła, jak miałem czternaście lat. ("Colitis ulcerosa", wrzodziejące zapalenie jelit. Pierwszy pacjent, jakiego leczyłem w życiu, chorował dokładnie na to samo. Ale wtedy już był encorton i penicylina i wyszedł z tego w parę tygodni.)

O czym mówiliśmy?

- Że kolezdy wyjechali.

- Widzisz - przed wojną mówiłem Żydom, że ich miejsce jest tutaj, w Polsce. Że tu będzie socjalizm i tu powinni pozostać. Więc kiedy zostali i zaczęła się wojna, i zaczęło się dziać to, co działo się w tej wojnie z Żydami - czy miałem stąd wyjechać?

Po wojnie ci kolezdy okazali się jakimiś dyrektorami japońskich koncernów albo fizykami amerykańskich agencji jądrowych, albo profesorami uniwersytetów. To byli bardzo zdolni ludzie, mówiłem ci.

- Ale wtedy i ty już się podciągnąłeś. Już byłeś na papierach bohatera. Mogli cię przyjąć do swojego świetnego towarzystwa.

- Proponowali, żebym przyjechał. Ale ja odprowadziłem na Umschlagplatz czterysta tysięcy osób. Ja sam, osobiście. Wszyscy przechodzili koło mnie, kiedy tam stałem przy bramie...

Słuchaj - przestań mi już zadawać te bezsensowne pytania. "Dlaczego zostałeś", "dlaczego zostałeś".

- Ależ ja cię w ogóle o to nie pytam.

- ...

- No?

- Co "no"?

- Mów o kwiatach. Zresztą wszystko jedno o czym. Ale może być o kwiatach. Że je dostajesz w każdą rocznicę powstania, nie wiadomo od kogo. Trzydzieści dwa bukiety do tej pory.

- Trzydzieści jeden. W sześćdziesiątym ósmym roku nie dostałem kwiatów. Było mi przykro, ale już w następnym dostałem znowu i dostaję do dzisiaj. Raz były to kaczęńce, w zeszłym roku róże, w tym żonkile - bo to są zawsze żółte kwiaty. Przynosi je bez słowa goniec z kwiaciarni.

- Nie wiem, czy powinniśmy o tym pisać. Anonimowe żółte kwiaty... Tandetna literatura. Ciebie w ogóle trzymają się kiczowate historie. Te prostytutki na przykład, które dawały ci dzień w dzień bułkę. Czy zresztą wypada pisać, że w getcie były prostytutki?

- Nie wiem. Pewnie nie. W getcie powinni być męczennicy i Joanny d'Arc, prawda? Ale jak chcesz wiedzieć, to w bunkrze na Miłej z grupą Anielewicza było kilka prostytutek i nawet jeden alfons. Taki wytatuowany, wielki, z bicepsami, który nimi rządził. Były to dobre, gospodarne dziewczyny. Przedostaliśmy się do ich bunkra, kiedy nasz teren zaczął się palić, i byli tam wszyscy - Anielewicz, Celina, Lutek, Jurek Wilner - tak cieszyliśmy się, że jeszcze jesteśmy razem... Tamte dziewczyny dały nam jeść, a Guta miała papierosy "juno". To był jeden z najlepszych dni w getcie.

Kiedy później przyszliśmy i to wszystko już się z nimi stało i nie było Anielewicza ani Lutka, ani Jurka Wilnera - te dziewczyny znaleźliśmy w sąsiedniej piwnicy.

Nazajutrz schodziliśmy do kanałów.

Wszyscy weszli, ja byłem ostatni, i jedna z dziewczyn zapytała, czy mogą z nami wyjść na aryjską stronę. A ja odpowiedziałem: nie.

No widzisz.

Bardzo cię proszę, nie każ mi dzisiaj tłumaczyć, dlaczego wtedy powiedziałem "nie".

- Czy wcześniej, będąc w getcie, miałeś szansę przejść na aryjską stronę?

- Ja wychodziłem na aryjską stronę legalnie, dzień w dzień. Jako goniec szpitala nosiłem krew chorych na tyfus do badania do san.-epid.-u na Nowogrodzką.

Miałem przepustkę. W getcie było wtedy zaledwie kilka przepustek: w szpitalu na Czystem, w Gminie, a w naszym szpitalu miałem ją tylko ja. Tamci ludzie, z Gminy, byli dygnitarzami, chodzili do urzędów i jeździli dorożką. A ja szedłem z moją opaską ulicą, wśród ludzi, i wszyscy ludzie na mnie i na moją opaskę patrzyli. Z ciekawością, ze współczuciem, czasami z drwiną...

Chodziłem tak codziennie na ósmą przez parę lat i w końcu nic mi się złego nie stało. Nikt mnie nie zatrzymał, nie wezwał policjanta, nawet się nie roześmiał. Ludzie tylko

patrzyli. Tylko patrzyli na mnie...

- Pytałam cię, dlaczego nie zostałeś na aryjskiej stronie.

- Nie wiem. Dzisiaj już się nie wie takich rzeczy: dlaczego.

- Przed wojną byłeś nikim. Więc jak to się stało, że trzy lata później byłeś już członkiem komendy ŻOB-u? Byłeś jednym z pięciu ludzi wybranych spośród trzystu tysięcy...

- To nie ja powinienem tam być. Tam miał być... No wszystko jedno. Nazwijmy go "Adam". Skończył przed wojną podchorążówkę, brał udział w kampanii wrześniowej, w obronie Modlina. Wszyscy znali jego odwagę. Przez długie lata był moim prawdziwym bożyszczem.

Pewnego dnia szliśmy razem Leszmem, na ulicy były tłumy ludzi i nagle jacyś esesowcy zaczęli strzelać.

Tłum rzucił się do ucieczki. On też.

Wiesz - ja sobie w ogóle przedtem nie wyobrażałem, że on się może czegokolwiek bać. A on, mój idol, uciekał.

Bo on był przyzwyczajony do tego, że zawsze miał broń: w podchorążówce, w Warszawie we Wrześniu, w Modlinie. Tamci mieli broń i on miał broń, więc był odważny. A kiedy stało się tak, że tamci strzelali, a on nie mógł strzelać - był już innym człowiekiem.

Nastąpiło to właściwie bez słowa, z dnia na dzień; po prostu przestał działać. I kiedy miało być pierwsze posiedzenie Komendy, on się już nie nadawał do tego, żeby tam iść. Więc ja poszedłem.

Miał taką dziewczynę, Anię. Zabrali ją na Pawiak - później wydostała się zresztą, ale jak ją zabrali, on się załamał zupełnie. Przyszedł do nas, oparł się rękami o stół i zaczął mówić, że i tak jesteśmy straceni, i że nas wyrzną, że jesteśmy młodzi i powinniśmy uciekać do lasu...

Nikt mu nie przerwał.

Jak wyszedł - ktoś powiedział: - To dlatego, że ją zabrali. Teraz nie ma już po co żyć. Teraz zginie. - Każdy musiał wtedy mieć kogoś, wokół kogo kręciło się jego życie, dla kogo mógł działać. Bierność oznaczała pewną śmierć. Działanie było jedyną szansą przetrwania. Trzeba było coś robić, gdzieś iść.

Ta krzątanina nie miała żadnego znaczenia, bo i tak wszyscy ginęli, ale człowiek nie czekał na swoją kolej beczynnienie.

Ja krzątałem się wokół Umschlagplatzu - miałem dzięki naszym ludziom z policji wyprowadzać tych, którzy byli nam najbardziej potrzebni. Jednego dnia wyciągnąłem chłopaka z dziewczyną - on był z drukarni, a ona była bardzo dobrą łączniczką. Zginęli

wkrótce oboje, on w powstaniu, ale zdążył jeszcze wydrukować przedtem jedną gazetkę, a ona na Umschlagplatzu, ale zdążyła jeszcze przedtem ją rozkolportować.

Jaki to miało sens, chcesz zapytać?

Żadnego. Nie stało się dzięki temu na beczce. To wszystko.

Przy Umschlagplatzu mieściło się ambulatorium. Pracowały w nim uczennice szkoły pielęgniarskiej - była to zresztą jedyna szkoła w getcie. Prowadziła ją Luba Blumowa, która pilnowała, żeby wszystko było tak, jak ma być w prawdziwej, porządnej szkole: fartuchy śnieżnobiałe, czepki nakrochmalone, a dyscyplina wzorowa. Żeby wyciągnąć człowieka z Umschlagplatzu, trzeba było udowodnić Niemcom, że jest naprawdę chory. Chorych odsyłano karetkami do domu: Niemcy do ostatnich chwil podtrzymywali w ludziach przekonanie, że jadą tymi wagonami do pracy, a pracować może przecież tylko zdrowy człowiek. Więc te dziewczęta z ambulatorium, te pielęgniarki, łały nogi ludziom, których należało ratować. Opierały nogę o drewniany klocek, a drugim klockiem uderzały, wszystko w tych swoich lśniących fartuszkach wzorowych uczennic.

Ludzie czekali na załadowanie do wagonów w budynku szkolnym. Wyciągano ich stamtąd kolejno, piętrami, więc z parteru uciekali na pierwsze piętro, z pierwszego na drugie, ale były tylko trzy piętra, więc na trzecim kończyła się ich aktywność i energia, bo wyżej nie można było iść. Na trzecim piętrze była wielka sala gimnastyczna. Leżało tam na podłodze kilkaset osób. Nikt nie stał, nikt nie chodził, nikt się w ogóle nie ruszał, ludzie leżeli, apatyczni i milczący.

W sali była wnęka. We wnęcie kilku włosowców - sześciu, ośmiu może - gwałciło dziewczynę. Stali w kolejce i gwałcili ją i kiedy kolejka się skończyła, dziewczyna wyszła z wnęki, przeszła przez całą salę, potykając się o leżących, biała, naga, zakrwawiona, i usiadła w kącie. Tłum wszystko widział i nikt nie powiedział słowa. Nikt się nie poruszył nawet, i nadal trwało milczenie.

- Widziałeś to, czy ktoś ci opowiadał?

- Widziałem. Stałem w końcu sali i widziałem wszystko.

- Stałeś w końcu sali?

- Tak. Opowiedziałem o tym kiedyś Elżbiecie. Zapytała: "A ty? Co ty wtedy zrobiłeś?" "Nic nie zrobiłem - powiedziałem jej. - W dodatku widzę, że w ogóle nie ma sensu o tym wszystkim z tobą mówić. Nic nie rozumiesz".

- Nie wiem, dlaczego się rozłościłeś. Elżbieta zareagowała tak, jak zareagowałby każdy normalny człowiek.

- Wiem. Wiem także, co normalny człowiek powinien zrobić w takiej sytuacji. Kiedy

gwałcą kobietę, normalny człowiek rzuca się w jej obronie, prawda?

- Gdybyś rzucił się sam zabiłby cię. Ale gdyby ci wszyscy ludzie wstali z podłogi - obezwładniliby Ukraińców z łatwością.

- Nikt nie wstał. Nikt już nie był zdolny do wstania z podłogi. Ci ludzie byli zdolni tylko doczekania na wagony. A właściwie dlaczego mówimy o tym?

- Nie wiem. Mówiliśmy przedtem, że trzeba się było krzątać.

- Krzątałem się więc koło Umschlagplatzu - a ta dziewczyna żyje, wiesz?

Daję ci słowo honoru. Ma męża, dwoje dzieci i jest bardzo szczęśliwa.

- Krzątałeś się koło Umschlagplatzu...

- ...i jednego dnia wyprowadziłem Polę Lifszyc. A nazajutrz Pola wpadła do domu, zobaczyła, że nie ma matki - matkę pędzili już na Umschlagplatz w kolumnie, to Pola pobiegła za tą kolumną sama, goniła tłum od Leszna do Stawek - narzeczony podwiózł ją jeszcze rykszą, żeby mogła ich dopędzić - i zdażyła. W ostatniej chwili wmieszała się w tłum, żeby jeszcze móc wejść z matką do wagonu.

O Korczaku wiedzą wszyscy, prawda? Korczak był bohaterem, bo poszedł z dziećmi dobrowolnie na śmierć.

A Pola Lifszyc - która poszła ze swoją matką? Kto wie o Poli Lifszyc?

A przecież to ona, Pola, mogła przejść na aryjską stronę, bo była młoda, ładna, niepodobna do Żydówki i miała sto razy więcej szans.

- Wspomniałeś o numerkach na życie. Kto je dzielił?

- Było czterdzieści tysięcy numerków - takie białe kartki z pieczętką. Niemcy dali je Gminie i powiedzieli: "Rozdzielcie sami. Ten, kto będzie miał numerkę, zostanie w getcie. Wszyscy inni pójdą na Umschlagplatz".

Było to dwa dni przed końcem akcji likwidacyjnej, we wrześniu. Lekarz naczelny naszego szpitala, Hellerowa, otrzymała kilkanaście numerków i powiedziała: "Ja nie będę dzielić".

Mógł rozdać te numerki którykolwiek z lekarzy, ale wszyscy uważali, że ona da je tym, komu się należą najbardziej.

Posłuchaj: "Komu się należą". Czy jest taka miara, według której można rozstrzygnąć, kto ma prawo żyć? Nie ma takiej miary. Ale do Hellerowej chodziły delegacje z prośbą, żeby się zgodziła, więc zaczęła dzielić numerki.

Dała numerkę Frani. A Frania miała jeszcze siostrę i mamę. Koło Zamenhofs ustawiono wszystkich, którzy mieli numerki, a wokół kłębił się tłum ludzi, którzy ich nie mieli. I stała wśród nich mama Frani. I ta mama nie chciała od niej odejść, a Frania musiała już wejść do szeregu, więc mówiła: "Mamo, no idź już" - i odsuwała ją ręką. - "No

idź już...”

Owszem, Frania przeżyła.

Uratowała później kilkanaście osób, jednego chłopaka wyniosła z powstania warszawskiego, w ogóle zachowywała się nadzwyczajnie.

Dostała taki numerka przełożona pielęgniarek, Tenenbaumowa. Była przyjaciółką Berensona, tego sławnego adwokata, obrońcy w procesie brzeskim. Miała córkę, której dyrektorka nie dała numerka. Tenenbaumowa dała córce swój numerka, powiedziała: - “Potrzyjmy chwilę, ja zaraz wrócę...” - poszła na górę i połknęła fiolkę luminalu.

Znaleźliśmy ją na drugi dzień, jeszcze żyła.

Czy sądzisz, że powinniśmy ją byli ratować?

- Co się stało z jej córką, która teraz już miała numerka?

- Ale powiedz mi - czy powinniśmy ją byli ratować?

- Wiesz, Tosia Goliborska mówiła mi, że jej matka też połknęła truciznę - “a ten kretyn, mój szwagier - opowiadała Tosia - uratował ją. Czy wyobraża sobie pani takiego kretyna? Uratować - po to, żeby po paru dniach zawlekli ją na Umschlagplatz...”

- Jak zaczęła się akcja likwidacyjna i z parteru naszego szpitala już wygarniali ludzi, na górze jedna kobieta rodziła dziecko. Lekarz stał nad nią i pielęgniarka. Kiedy dziecko się urodziło, lekarz podał je pielęgniarce. Ułożyła je w poduszce, przykryła drugą poduszką. Dziecko pokwiliło chwilę i ucichło.

Ta dziewczyna miała dziewiętnaście lat. Lekarz nie powiedział jej nic, ani słowa - i ta dziewczyna sama wiedziała już, co ma zrobić.

Dobrze, że dzisiaj nie pytasz: “A czy dziewczyna żyje?” - jak pytałaś o lekarkę, która podała dzieciom cyjanek.

Owszem, żyje. Jest bardzo wybitnym pediatrą.

- Więc co się stało z córką Tenenbaumowej?

- Nic. Też zginęła. Ale miała przedtem parę dobrych miesięcy: kochała się z jednym chłopakiem, przy nim była zawsze pogodna, uśmiechnięta. Miała kilka naprawdę dobrych miesięcy.

Ten Francuz z “l'Express” pytał mnie, czy ludzie się w getcie kochali. Otóż...

- Przepraszam cię. Czy i ty dostałaś numerka?

- Tak. Stałem w piętnastej piątce, w tej kolumnie, w której stała już Frania i córka Tenenbaumowej i zobaczyłem moją przyjaciółkę i jej brata. Szybko wciągnąłem ich do kolumny, ale tak też postępowali i inni, i w kolumnie było już nie czterdzieści, tylko czterdzieści cztery tysiące osób.

Więc Niemcy policzyli i ostatnie cztery tysiące odcięli i odesłali na Umschlagplatz.

Ale ja zmieściłem się w tych pierwszych czterdziestu tysiącach.

- No więc Francuz pytał cię...

- ...czy ludzie się kochali. Otóż być z kimś to była w getcie jedyna możliwość życia. Człowiek zamykał się gdzieś z drugim człowiekiem - w łóżku, w piwnicy, gdziekolwiek, i do następnej akcji już nie był sam.

Jednemu zabrali matkę, drugiemu ojca zastrzelili na miejscu, siostrę wywieźli w transporcie, więc jeśli ktoś cudem uciekł i jeszcze żył, to musiał przyłgnąć do innego żywego człowieka.

Ludzie garnęli się wtedy do siebie jak nigdy przedtem, jak nigdy w normalnym życiu. Podczas ostatniej likwidacyjnej akcji biegli do gminy, szukając jakiegoś rabina czy kogokolwiek, kto im da ślub, i szli na Umschlagplatz już jako małżeństwo.

Siostrzenica Tosi poszła ze swoim chłopakiem na Pawią - pod pierwszym mieszkał jakiś rabin, dał im ślub i prosto z tego ślubu zgarnęli ją Ukraińcy, a jeden przystawił jej lufę do brzucha. To on, jej mąż, odsunął lufę i zasłonił jej brzuch swoją ręką. Ona zresztą i tak poszła na Umschlagplatz, a on z urwaną dłonią uciekł na aryjską stronę i zginął potem w powstaniu warszawskim.

O to właśnie chodziło: żeby był ktoś, kto gotów jest zasłonić twój brzuch własną ręką, jeśli zajdzie potrzeba.

- Kiedy zaczęła się cała ta akcja, i Umschlagplatz, i to wszystko, czy wy - ty i twoi koledzy - od razu rozumieliście, co to oznacza?

- Tak. Dwudziestego drugiego lipca 1942 rozplakatowano rozporządzenie o "przesiedleniu ludności na wschód" i tej samej nocy jeszcze naklejaliśmy kartki: "Przesiedlenie to śmierć".

Nazajutrz zaczęto wywozić na Umschlagplatz więźniów z aresztu i starców. Trwało to cały dzień, bo sześć tysięcy więźniów trzeba było przewieźć, ludzie stali wzdłuż chodników i patrzyli - i wiesz - było zupełnie cicho. W takiej ciszy odbywało się to wszystko...

Potem nie było już więźniów i nie było starców, i nie było żebraków, i dziesięć tysięcy osób trzeba było dostarczyć na Umschlagplatz każdego dnia. Miała to robić żydowska policja pod nadzorem Niemców, a Niemcy mówili: będzie spokój i nikt nie będzie strzelał, jeśli codziennie do czwartej, dostarczycie do wagonów dziesięć tysięcy ludzi. (Bo o czwartej musiał odejść transport). Więc mówiono ludziom: "Musimy dostarczyć dziesięć tysięcy, to reszta ocaleje". I policja sama ludzi zatrzymywała - najpierw na ulicy, potem otaczała dom, potem wyciągała z mieszkań...

Na niektórych policjantów wydaliśmy wyroki. Na komendanta policji Szeryńskiego,

na Lejkina i paru innych.

Drugiego dnia akcji, 23 lipca, zebrali się przedstawiciele wszystkich stronnictw politycznych i po raz pierwszy mówili o walce zbrojnej. Wszyscy już byli zdecydowani i zastanawiali się, skąd zdobyć broń, ale po paru godzinach, o drugiej czy trzeciej po południu, przyszedł ktoś i powiedział, że akcja przerwana i nikogo już wysiedlać nie będą. Nie wszyscy uwierzyli, ale od razu rozładowało to atmosferę i nie podjęto żadnych decyzji.

Większość wciąż jeszcze nie wierzyła, że to jest śmierć. "Czy to możliwe - mówili - że wymordują cały naród?" I uspokajali się. Trzeba dostarczyć tych ludzi na plac, żeby ocalić resztę...

Wieczorem, pierwszego dnia akcji, popełnił samobójstwo prezes Gminy, Czerniaków. To był jedyny deszczowy dzień. Poza tym przez cały czas akcji było słońce. Tego dnia, co Czerniaków umarł, słońce zachodziło na czerwono i myśleliśmy, że będzie nazajutrz deszcz, ale znowu było słońce.

- Do czego wam deszcz był potrzebny?

- Do niczego. Po prostu mówię ci, jak było.

Co do Czerniakowa, to mieliśmy do niego żal. Uważaliśmy, że nie powinien był...

- Wiem. Już o tym mówiliśmy.

- Tak?

A wiesz, po wojnie ktoś mi powiedział, że Lejkinowi, temu policjantowi, którego zastrzeliliśmy w getcie, urodziło się wtedy po siedemnastu latach małżeństwa, pierwsze dziecko i on myślał, że tą swoją gorliwością je ocali.

- Chcesz jeszcze coś opowiedzieć o akcji?

- Nie. Akcja się skończyła.

Ja żyłem.

Tak się złożyło, że pan Rudny i pani Bubnerowa, i pan Wilczkowski, alpinista, mieli zawał w piątek albo z piątku na sobotę, więc sobota była dla każdego z nich dniem, w którym się nie ma już nic do załatwienia. W sobotę każdy z nich leżał bez ruchu, pod kroplówką z ksylokainy, i myślał.

Inżynier Wilczkowski, na przykład, myślał o górach, a ściślej mówiąc o szczycie wyłocnym słońcem (tak właśnie wyraził się później, poetycznie), na którym rozwiązuje się wreszcie liny i przysiada - i nie był to żaden szczyt w Alpach ani w Etiopii, ani w Hindukuszu nawet, tylko tatrzański szczyt, Mięguszwowiecki, czy też może Żabi Mnich, na który zrobił kiedyś, we wrześniu, bardzo ładną drogę zachodnią ścianą. Pan Rudny (pierwsze przeszczepienie żyły do serca w stanie ostrym) widział maszyny, ma się rozumieć - same nowoczesne, z importu, angielskie albo szwajcarskie, a wszystkie w

ruchu, bo do żadnej nie brakowało ani jednej części. Pani Bubnerowa zaś (odwrócenie krwiobiegu) miała przed oczyma wtryskareczkę. Części plastikowe robił na niej pracownik, ale potem, na gotującą farbę wrzucała je już sama, bo to była praca najbardziej odpowiedzialna. Następnie montowała cały długopis (na szwajcarskie końcówki, które udało jej się dostać z paczek, miała oczywiście kwit celny), metkowała i wkładała do pudełka.

O tym myśleli pacjenci doktora Edelmana, leżąc pod kroplówką z ksylokainy.

Pod kroplówką myśli się zwykle o tym, co najważniejsze.

Dla naczelnego lekarza Hellerowej najważniejszą sprawą było, komu się należy numerek na życie. A dla pana Rudnego najważniejsze są części do maszyn. Gdyby więc Hellerowa przydzieliła numerek panu Rudnemu, to byłby to numerek na maszyny, bo one są życiem pana Rudnego, jak życiem pani Bubnerowej są pióra kulkowe, a pana Wilczkowskiego - Mięszowickie Szczyty.

Co do pana Rzewuskiego, to myślał o niczym.

Gdyby pan Rzewuski, podobnie jak pani Bubnerowa lub pan Rudny, wspominał coś, co było najlepsze w jego życiu, to niewątpliwie pomyślałby o fabryce, którą mu powierzono, kiedy miał dwadzieścia osiem lat, a odebrano, kiedy miał czterdzieści trzy. Poczłby zaraz zapach metalu i usłyszał, że ktoś wchodzi z rysunkiem w rękę, i wiedziałby, że właśnie coś powstaje i że to coś można zobaczyć, sprawdzić, zmierzyć, i czułby niecierpliwość na widok obrabianego metalu, bo tak bardzo chciałby już dotknąć prototypu, który widział na rysunku przed chwilą...

(Fabryka - mówi pan Rzewuski - była dla mnie tym, czym dla doktora Edelmana getto: najważniejszą sprawą, jaka zdarzyła się w życiu. Działaniem. Szansą sprawdzenia siebie. Prawdziwie męską przygodą.)

O tym wszystkim pan Rzewuski myślałby niewątpliwie leżąc pod kroplówką, gdyby w ogóle myślał o czymkolwiek. Ale - jak mówię - nie myślał o niczym ani wtedy, gdy Profesor siedział jeszcze zatopiony w myślach w swym gabinecie, a wokół pana Rzewuskiego krzątał się już anestezjolog, ani parę godzin później, gdy Profesor i Edelman, i Chętkowska z radością wpatrywali się w skaczące światełko monitora, przez cały czas doznawał bowiem tylko jednego uczucia - bólu, i nie było rzeczy ważniejszej, niż żeby ból uspokoił się chociaż na chwilę.

Było to pierwsze wejście środkiem zachodnich płyt i chyba jednak nie był to wrzesień, ale w każdym razie mieli bardzo dużo słońca już w ścianie. Potem widzieli z góry Morskie Oko, a z tyłu nastermany, spiętrzony świat i Babią Górę. Anglik Mallory, kiedy pytano go, dlaczego wchodził na Mont Everest, odparł: "Because he exists".

Ponieważ istnieje. Ów wyzłocony szczyt był daleko, przez całą sobotę (do ksylokainy doszedł jeszcze ultrakorten) wspinał się nań, widział go doskonale, ale nie mógł się zbliżyć nawet o milimetr i już rozumiał, że nigdy w życiu do tego nasłonecznionego miejsca nie dotrze.

Zaczął się zastanawiać nad swoją szansą. Nie miał dotąd wypadku w górach, ale to go jeszcze nie uspokajało, bo oczywiście ktoś mógł się znaleźć na drodze jego przeznaczenia. Są przecież planetnicy, którzy sprowadzają nieszczęście na ludzi gór, przed wyprawą do Etiopii ich planetnik (dopiero potem okazało się, że był nim) dostał na przykład zasobnik z bagażem numer osiem i nie chciał go wziąć, wziął go kto inny, było ich wtedy ośmiu, wyruszyli ósmego, i ten, który wziął ósmy zasobnik, zsunął się z opończy samochodu z przyczyn do dziś niezrozumiałych, bo spali na tej plandece wszyscy przywiązani linami. W wyprawie Dyhrenfurtha na Mont Everest Hindus umarł z wyczerpania, a planetnik ów był ostatnim człowiekiem, który go widział, Hindus szedł zresztą w jego kurtce. Przez całą noc zatem z soboty na niedzielę Wilczkowski zastanawiał się nad własnym miejscem, ale choć starał się myśleć zupełnie obiektywnie, doszedł do wniosku, że jego współrzędna z niczym niepokojącym się nie krzyżuje, co go bardzo pokrzepiło.

Cztery bębny w angielskiej maszynie należy wyregulować tak, żeby wszystkie były z sobą zsynchronizowane, nie będzie wtedy naprężeń i towar nie pęknie. Reguluje się przez skrzynię bezstopniową pierścieniem na tarczy stożkowej i kiedy już towar na bębnach - taśma do spódnic albo gumka, albo gurt - osiągnie swoją wilgotność i szybkość, a wszystkie bębny są idealnie ze sobą zgrane, to to jest cudowne, bo człowiek wie, że panuje nad całą maszyną.

Maszyny były zatem naoliwione, bębny, które udało mu się bezbłędnie wyregulować, obracały się rytmicznie, pan Rudny mógł więc przez chwilę pomyśleć o działce, którą należało skopać, a właściwie to przydałaby się i jakaś altanka.

Żona mówiła mu, że kto wie, może powinni postawić sobie domek. Taki letni domek, wszyscy teraz takie stawiają.

Żona mówiła mu, że do tej pory zawsze udawało im się zdobyć to, na czym im najbardziej w życiu zależało, mieszkanie urządzili najmodniejszymi jasnymi meblami, tylko drzwiczki w regałach były czarne, lakierowane, od razu dostali talon na pralkę, co roku mieli rodzinne wczasy, i nigdy nie zdarzało się tak, żeby cięłęcina bez kości do niej nie doszła. Na pewno więc gdyby się trochę zakrzętnęli, mogliby mieć i domek - tak mówiła żona, która aż do chwili, gdy zobaczyła go z daleka przez uchylone drzwi sali reanimacyjnej, sądziła, że udało im się mieć wszystko, co w życiu jest naprawdę ważne.

Długopisy można wstawiać tylko do Domu Książki. Ani kioski "Ruchu", ani sklepy papiernicze nie miały prawa brać od nich towaru, byli więc zależni całkowicie od księgarń. Kierownik księgarni mógł wziąć od razu i tysiąc, i dwa tysiące sztuk, pani Bubnerowa musiała zatem robić wszystko, by towar nie leżał.

Zawału dostała zaraz po powrocie z rozprawy sądowej (skazano ją na rok z zawieszeniem na trzy lata), na której okazało się zresztą, że stawka była wyrównana: wszyscy producenci długopisów dawali kierownikom dokładnie po sześć procent, czyli jakieś dziesięć, dwadzieścia tysięcy od każdej partii towaru.

Na sali rozpraw okazało się, że nie tylko ci, którzy dawali, cierpią na serce. Ci, którzy pośredniczyli w dawaniu, byli w jeszcze gorszym stanie, jeden z pośredników łykał co jakiś czas nitro, a pani sędzina robiła wtedy na moment przerwę: "Chwileczkę - mówiła - trzeba poczekać, aż nitrogliceryna się rozpuści, niech się pan tylko nie denerwuje".

W stanie najcięższym byli jednak ludzie, którzy brali - sami kierownicy księgarń. Jeden był już po zawale, lekarz sądowy pozwolił mu zeznawać tylko przez godzinę, tak że pani sędzina musiała patrzeć przez cały czas na zegarek i dokładnie po godzinie przerywała rozprawę. Trzeba powiedzieć, że sędzina naprawdę dobrze i ze zrozumieniem traktowała wszystkich sercowców - i rzemieślników, i pośredników, i kierowników z Domów Książki.

Co się tyczy jej, pani Bubnerowej, to nie wymagała jeszcze wtedy opieki lekarskiej. Zawału dostała już po rozprawie, u siebie, i miała nawet jeszcze czas unieść się na noszach i poprosić sąsiada, żeby uśpił jamnika najlepszym zastrzykiem, jaki tylko będzie można dostać.

- Pan doktor Edelman podszedł potem do mnie i mówi: "Tylko operacja, pani Bubnerowa". To ja zaczęłam płakać i mówię: "Nie". To on mówi: "Trzeba się zgodzić, pani Bubnerowa. Naprawdę". (Bowiem przypadek pani Bubnerowej to był właśnie zawał przedniej ściany serca z blokiem prawej gałązki - taki, od którego ludzie stają się coraz cichsi i coraz spokojniejsi, bo wszystko w nich stopniowo, powolutku umiera. A pani Bubnerowa była tą czternastą osobą, przed którą Profesor już nie pytał: "Czego właściwie chcecie ode mnie", tylko powiedział: "Dobrze. Spróbujemy".) A zatem - Edelman mówił: "Trzeba się zgodzić, naprawdę..."

- ...i ja wtedy pomyślałam sobie, że mój świętej pamięci mąż to był przecież taki dobry, taki religijny człowiek. Mówił: "No, trudno, Maniu, ale Bóg jest", i w gminie mojżeszowej bardzo się udzielał, po zebraniu cechu nigdy nie szedł z innymi do "Malinowej", tylko prosto do domu, a jak czasem miałam chęć wypić w towarzystwie, to mówił: "Proszę bardzo, Maniusiu, tylko daj mi swoją torebkę, żebyś nie zgubiła". Więc jak

już taki człowiek poprosi o coś swojego Pana Boga, to Pan Bóg na pewno nie odmówi mu. Nawet jak siedziałam u Mostowskich miesiąc, przed sprawą, byłam spokojna: wiedziałam, że drzwi się w końcu muszą przede mną otworzyć, bo niemożliwe, żeby mój mąż nie mógł załatwić tego dla mnie. I co pani myśli? Nie załatwił? Przyjechał księgowy z cechu, wpłacił kaucję i zwolnili mnie warunkowo do sprawy.

To teraz też powiedziałam: "Niech się pan nic nie martwi, panie doktorze, zobaczy pan, on już tam wszystko załatwi jak potrzeba".

(Wkrótce po tych słowach Profesor podwiązywał główną żyłę w sercu pani Bubnerowej, żeby zatrzymać drogę odpływu krwi i żeby skierować krew tętniczą żyłami, i okazało się, ku radości wszystkich, że krew jakoś znalazła sobie w tym sercu ujście...)

Zanim sprowadzono nowe, importowane maszyny, posłano pana Rudnego do Anglii, do Newcastle, na praktykę. Pan Rudny zauważył wtedy, że angielska kontrolerka wybiera o wiele mniej odrzutów niż u nich w zakładzie, i że nigdy tam się nie zdarzyło, by maszyna stała z powodu braku części.

Kiedy powrócił do Łodzi - marzyła mu się taka sama praca maszyn jak w Newcastle. Niestety, człowiek mógł uszarpać się do ostatka i nie zdobyć potrzebnych detali, ilość odrzutów ciągle była bardzo wysoka, a do tego wszystkiego nie mógł dojść do porozumienia z młodymi robotnikami.

Dyrektor zakładów mówi, że kiedyś ta lojalność wobec zwierzchnika była inna, bo niełatwo było o pracę. A dziś dzieci robotników się kształcą - i dobrze, że się kształcą, tylko robić nie ma później komu, i jak ktoś przyjdzie do pracy, zwłaszcza po technikum, to zaraz się stawia o byle co, bo rozumie dobrze swoją pozycję.

Kiedy więc pan Rudny wrócił ze szpitala po operacji (to był ten zabieg w stanie ostrym, kiedy chodziło o to, kto będzie pierwszy: zawał czy lekarze - lekarze czy Pan Bóg - to był ten zabieg, przed którym Profesor próbował wyjść z kliniki i już nie wrócić; ale wrócił, tego samego dnia jeszcze, późnym popołudniem. A jeśli już chodzi o ścisłość, to nie tylko Profesor wyszedł. Edelman wyszedł także, choć to on nalegał przedtem na zrobienie zabiegu. Powiedział: "Pójdę się zastanowić", bo też znał książki, w których piszą, że takich zabiegów robić nie wolno - i wrócił po paru godzinach. A wtedy Elżbieta Chętkowska okazała się tą, która krzyczała: "Gdzieście się podziewali? Czy nie wiecie, że ważna jest każda minuta?!") - no więc kiedy pan Rudny przyszedł po operacji, o której było od razu głośno w całej prasie, przeniesiono go z miejsca na spokojny oddział. Specjalnie szukano takiego, w którym nie będzie ani maszyn importowanych, ani deficytowych części, ani młodych, wykształconych robotników - i skierowano go na oleje. "Zdrowie i tylko zdrowie pana Rudnego było przyczyną przeniesienia - podkreśla Dyrektor

- a nie, jak mylnie pan Rudny sądził, fakt, iż poszedł do bhp i powiedział, że Nowak, który już dziesięć dni jest na zwolnieniu lekarskim, nie jest zwyczajnie chory, tylko uległ wypadkowi przy pracy. Jest to bardzo kłopotliwa sprawa dla zakładu, gdy zgłasza się wypadek przy pracy z dziesięciodniowym opóźnieniem, ale, jak powiadam, w ogóle nie o to chodziło, i nie dlatego dano panu Rudnemu spokojniejszą pracę”.

Na nowym stanowisku pan Rudny prowadził gospodarkę oliwą smarowniczą. Cóż to była za praca! Obejrzeć maszynę, spisać protokół - i wszystko. Pan Rudny rozumiał doskonale, że to jest dziedzina odpowiedzialna, bo jak maszyna szybkobieżna będzie dosmarowana, to chodzi całymi latami, ale żeby tak zaraz jakiś efekt pracy był - to nie.

Dyrektor nie wie, do czego ja zmierzam, interesując się stanem zdrowia pana Rudnego.

Może na przykład uważam, że zakład jest odpowiedzialny za jego chorobę? Ale ja wcale tak nie uważam. Dyrektor opowiada więc jeszcze, jak to po każdym wyjeździe do kooperującego zakładu, w którym musi błagać o części i lepszą przędzę, odnawia mu się wrzód dwunastnicy. Główny mechanik zaś, bezpośredni zwierzchnik pana Rudnego (części nie dla paru maszyn, lecz dla całego zakładu!), już dwukrotnie w stanie przedzawałowym był odwożony do szpitala - jeśli chcę, może sobie zaraz zmierzyć ciśnienie, jest koniec kwartału i mniej niż sto osiemdziesiąt na sto dziesięć na pewno nie będzie.

Wszyscy troje, pani Bubnerowa, inżynier Wilczkowski i pan Rudny mieli w tamtą sobotę dużo czasu dla przemyśleń. I pomyśleli sobie, że już nie chcą mieć więcej zawału.

Można postanowić, że się nie będzie miało zawału. Tak jak wybierając jakiś sposób życia, można godzić się na zawał.

Więc zaraz po powrocie do domu pani Bubnerowa zlikwidowała warsztat. Całą dokumentację należy przechowywać przez pięć lat i ona ma jeszcze swoje długopisy, z każdego wzoru po jednym. Od czasu do czasu może je wyjąć, oczyścić, obejrzeć - lśniące, o czterech kolorach każdy, zametkowane i naniesione na rachunek. A potem odkłada z powrotem do pudełka, chowa i idzie wolnym krokiem na spacer.

Pan Rudny natomiast, którego przeniesiono ostatnio na dawny oddział, bo znów nadeszły jakieś maszyny, tym razem ze Szwajcarii, powiedział sobie: “Tylko spokojnie. Jak nawet zabraknie jakiejś części, to wcale nie muszę starej regenerować albo na głowie stawać, żeby samemu dorobić nową. Jak zabraknie części, to do mnie należy tylko złożenie formalnego zamówienia i będę w porządku”.

I rzeczywiście. Składa na piśmie zamówienie i jest w porządku.

A jeśli narusza czasem to dane sobie słowo, to naprawdę na krótko. Wystarczy,

jeśli poczuje ból w okolicy mostka, pójdzie do lekarza i usłyszy: "Panie Rudny. Trzeba się cieszyć życiem, a nie martwić maszynami" - i powraca do pisania zamówień.

Wtedy już nie czuje bólu i przychodzi do szpitala tylko prywatnie, w gości, piątego czerwca w rocznicę swojej operacji, i przynosi trzy bukiety kwiatów. Jeden wręcza Profesorowi, drugi doktorowi Edelmanowi, a trzeci niesie doktor Elżbiecie Chętkowskiej i kładzie na jej grobie, na Radogoszczu.

- Skończyła się akcja, ty żyłeś...

- W getcie zostało sześćdziesiąt tysięcy Żydów. Ci, co zostali, teraz rozumieli już wszystko: co to znaczy "wysiedlenie" i że nie wolno czekać. Postanowiliśmy stworzyć jedną organizację wojskową dla całego getta, co zresztą nie było proste, bo jedni do drugich nie mieli zaufania, my do syjonistów, oni do nas, ale teraz to, oczywiście, nie miało już znaczenia. Utworzyliśmy jedną organizację bojową, ŻOB.

Było nas pięćset osób. W styczniu jednak znów była akcja i z pięciuset zostało osiemdziesięciu. W tej styczniowej akcji ludzie po raz pierwszy nie szli dobrowolnie na śmierć. Zastrzeliliśmy kilku Niemców na Muranowskiej, Franciszkańskiej, Miłej i Zamenhofa, były to pierwsze strzały w getcie i zrobiły duże wrażenie po aryjskiej stronie: działo się to przed wielkimi akcjami zbrojnymi polskiego ruchu oporu. Władysław Szlengel, poeta, który pisał w getcie wiersze i miał kompleks potulnej śmierci, zdążył jeszcze napisać wiersz o tych strzałach. Nazywał się "Kontratak". Posłuchaj:

"...Słyszysz, niemiecki Boże,
jak modlą się Żydzi w dzikich domach
trzymając w ręku łom czy żerdź.
Prosimy Cię, Boże, o walkę krwawą,
błagamy Cię o gwałtowną śmierć.
Niech nasze oczy przed skonaniem
nie widzą, jak się wloką szyny,
ale dłoniom daj celność, Panie...
Jak purpurowe krwiste kwiaty
z Niskiej i Miłej, z Muranowa
wykwita płomień naszych luf,
to wiosna nasza, to kontratak,
to wino walki uderza do głów,
to nasze lasy partyzanckie -
zaulki Dzikiej i Ostrowskiej...

"

Dla ścisłości powiem ci, że "naszych luł", z których wykwił płomień, było wtedy w getcie dziesięć. Dostaliśmy te pistolety od AL.

Grupa Anielewicz, którą prowadzono na Umschalplatz i która nie miała broni, zaczęła bić Niemców rękami. Grupa Pelca, takiego osiemnastoletniego chłopca, drukarza, którą doprowadzono na plac, odmówiła wejścia do wagonu i Van Oeppen, komendant Treblinki, rozstrzelał ich wszystkich - sześćdziesięciu ludzi na miejscu. Radiostacja Kościuszki, pamiętam, nadawała wtedy apele zagrzewające naród do walki. Jakaś kobieta krzyczała: "Do broni", "Do broni" na tle efektów dźwiękowych, które naśladowały szczęk oręża. Zastanawialiśmy się, czym oni tam szczękają, bo co do nas, to mieliśmy wtedy sześćdziesiąt pistoletów - od PPR i AK.

- A wiesz, kto to krzyczał? Rysia Hanin.

W radiostacji w Kujbyszewie czytała wtedy komunikaty, wiersze i apele. Powiedziała, że nie można wykluczyć, iż to ona wzywała was do broni... Ale wcale nie szczękali prawdziwym orężem. Rysia Hanin mówi, że w radiu nic nie brzmi tak fałszywie, jak autentyczne dźwięki...

- Kiedyś Anielewicz chciał zdobyć jeszcze jeden rewolwer. Zabił na Miłej werkszuca, a po południu tego samego dnia przyjechali Niemcy i w odwet wygarnęli wszystkich z Zamenhofs - od Miłej do placu Muranowskiego, kilkaset osób. Byliśmy na niego wściekli. Chcieliśmy nawet... Zresztą mniejsza z tym.

W tym domu, od którego zaczęli wygarniać, na rogu Miłej i Zamenhofs, mieszkał mój kolega Hennoch Rus. (To on zresztą przeważył decyzję utworzenia jednej organizacji bojowej w getcie: dyskusja trwała wiele godzin i głosowano kilka razy, ale nie można było nic ustalić, bo za każdym razem tyle samo głosów było przeciw, co za. W końcu Hennoch właśnie zmienił zdanie, podniósł rękę i zapadła decyzja o utworzeniu ŻOB-u.)

Hennoch Rus miał synka. Na początku wojny mały zachorował, potrzebna mu była transfuzja, dałem mu swoją krew, ale zaraz po transfuzji dziecko zmarło. Przypuszczalnie wstrząs po krwi, to się czasami zdarza. Hennoch nie powiedział nic, ale mnie odtąd unikał: w końcu to moja krew zabiła jego dziecko. Dopiero kiedy zaczęła się akcja, powiedział: "Dzięki tobie mój syn zmarł w domu, jak człowiek. Jestem ci wdzięczny".

Gromadziliśmy wtedy broń.

Szmyglowaliśmy ją z aryjskiej strony (siłą braliśmy pieniądze od różnych instytucji i prywatnych osób), wydawaliśmy także gazetki - nasze łączniczki woziły je po Polsce...

- Ile płaciliście za rewolwer?

- Od trzech do piętnastu tysięcy. Im bliżej kwietnia, tym drożej: zapotrzebowanie na rynku było większe.

- A ile płaciło się za ukrywanie Żyda po aryjskiej stronie?

- Dwa, pięć tysięcy. Rozmaicie. W zależności od tego, czy człowiek był podobny do Żyda, czy mówił z akcentem i czy był mężczyzną, czy kobietą.

- Więc za jeden rewolwer można było ukrywać przez miesiąc jednego człowieka. Albo dwóch. Albo trzech nawet.

- Można też było za jeden rewolwer wykupić jednego Żyda od szmalcownika.

- Gdyby wtedy postawiono przed wami ten wybór: jeden rewolwer czy życie jednego człowieka przez miesiąc...

- Nie stawiano takiego wyboru. Może nawet i lepiej, że nie stawiano.

- Wasze łączniczki wozily gazetki po Polsce...

- Jedna dziewczyna jeździła z nimi do Piotrkowa do getta. W getcie piotrkowskim byli w gminie nasi ludzie i panował tam wyjątkowy porządek: nie było kantów i sprawiedliwie dzielono jedzenie i pracę. Ale myśmy byli wtedy młodzi i bezkompromisowi i uważaliśmy, że nie wolno pracować w gminie, bo to jest kolaboracja. Kazaliśmy im uciec stamtąd i przyjechało wtedy do Warszawy parę osób, które trzeba było ukryć, bo Niemcy wszystkich tych radnych z Piotrkowa poszukiwali. Ja opiekowałem się rodziną Kellermanów. Dwa dni przed końcem akcji likwidacyjnej, kiedy wyprowadzano nas z Umschlagplatzu po numerki, zobaczyłem Kellermana. Stał za drzwiami budynku szpitalnego - były to kiedyś oszklone drzwi, ale szyby wybito, a dziury załatano deskami - w szparze między tymi deskami widziałem jego twarz. Dałem mu znak ręką, że widzę go i że po niego przyjdę - i wyprowadzili nas. Wróciłem po paru godzinach, ale za drzwiami nie było nikogo.

Wiesz - widziałem tylu ludzi idących na plac i przedtem, i potem, ale tylko przed tym dwojgiem chciałbym się wytłumaczyć, bo miałem się nimi opiekować, i powiedziałem im, że przyjdę, i oni do ostatnich chwil czekali na mnie - a ja przyszedłem za późno.

- Co było z łączniczką, która jeździła do Piotrkowa do getta?

- Nic. Kiedyś w drodze powrotnej złapali ją Ukraińcy i chcieli zastrzelić, ale nasi ludzie zdołali wetknąć im jakieś pieniądze; Ukraińcy postawili ją nad grobem, strzelili ślepymi nabojami, ona udawała, że pada, a potem nadal wozila do Piotrkowa te gazetki.

Gazetki odbijaliśmy na powielaczu. Powielacz mieliśmy na Wałowej i któregoś dnia trzeba go było przenieść, ale spotkaliśmy po drodze kilku żydowskich policjantów. My mamy na plecach maszynę, a oni nas otaczają i chcą prowadzić na Umschlagplatz. Dowodził nimi pewien adwokat, który przedtem zachowywał się bez zarzutu, nikogo nie bił i nie widział, jak się uciekało. Wyrwaliśmy się im, potem mówię kolegom: "Popatrzcie, co to jednak za świnia", a oni tłumaczyli mi, że pewnie się załamał, myślał - że to już koniec i

dla nas, i dla niego. To samo mi mówił Maślanko, jak jechaliśmy we trójkę do RFN zeznawać jako świadkowie. Po wojnie nie zamieniłem z tamtym jednego słowa, a Maślanko mówi (wypiliśmy w tym pociągu trochę): "No i jaki to ma sens pamiętać dzisiaj o tamtym?"

Faktycznie. Jaki to ma sens - pamiętać?

Parę dni po zastrzeleniu werkszuca i masakrze, w kwietniu, szliśmy ulicą, Antek, Anielewicz i ja, a tu na placu Muranowskim widzimy ludzi. Było ciepło, był słoneczny dzień i ludzie wyszli z piwnic na słońce. "Boże - powiedziałem. - Jak oni mogli wyjść? Po co oni chodzą?" A Antek mówi o mnie: "Jak on ich nienawidzi, chciałby, żeby siedzieli w ciemności..." Bo ja już byłem przyzwyczajony do tego, że ludzie mają prawo wychodzić tylko w nocy. Kiedy wychodzą w dzień, kiedy ich widać, to znaczy, że zaraz zginą.

Antek, pamiętam, pierwszy powiedział wtedy, na posiedzeniu Komendy, że Niemcy podpalą getto. Kiedy zastanawialiśmy się jeszcze, co robić, jak zginąć - czy rzucać się na mury, czy dać się na Cytadeli zastrzelić, czy podpalić getto i spłonąć razem z nim, Antek powiedział: "A jeśli oni sami nas podpalą?" Powiedzieliśmy: "Nie pleć głupstw, przecież nie spalą miasta." I drugiego dnia powstania rzeczywiście podpalili. Byliśmy wtedy w schronie i wpadł ktoś z przeraźliwym krzykiem, że się pali. Wybuchła panika. "Koniec - już po nas" - i wtedy właśnie musiałem dać temu chłopakowi w mordę, żeby się uspokoił.

Wyszliśmy na podwórko, podpalili nas ze wszystkich stron, ale getto centralne, na szczęście, jeszcze się nie paliło, tylko nasz teren, fabryka szczotek, więc powiedziałem, że musimy się przebić przez ogień. Ania, ta przyjaciółka Adama, która się wydostała z Pawiaka, powiedziała, że nie pobiegnie, bo musi zostać z matką - to zostawiliśmy ją i rzuciliśmy się przez podwórza. Dobrnęliśmy do muru na Franciszkańskiej, w murze był wylot, ale oświetlał go reflektor. Ludzie znów zaczynają histeryzować - że nie pójda, że w tym świetle wystrzelają nas co do jednego, to mówię: "Jak nie, to zostajecie sami", i zostali, z szczęściu chyba, a Zygmunt strzelił w reflektor z jedyne go karabinu, jaki mieliśmy, i udało nam się szybko przeskoczyć. (To był ten Zygmunt, który powiedział, że ja przeżyję, a on nie, i żeby odnalazł jego córkę w Zamościu.)

Podoba ci się ten numer z reflektorem? Ja wiem, to już jest w lepszym stylu niż śmierć w piwnicy. Więcej godności ma się skacząc przez mur, niż dusząc się w ciemności, prawda?

- Istotnie.

- To mogę ci jeszcze o czymś w tym stylu opowiedzieć. Przed powstaniem, jak zaczęła się akcja w małym getcie, ktoś mi powiedział, że zabrali Abraszę Bluma. To był niezwykle mądry człowiek, nasz przywódca jeszcze sprzed wojny, więc poszedłem

zobaczyć, co się z nim dzieje.

Widziałem ludzi ustawionych czwórkami wzdłuż Ciepłej, a po obu stronach, co pięć - dziesięć rzędów, stali Ukraińcy. Ulica była zamknięta kordonem. Musiałem wejść głębiej, zobaczyć, gdzie jest Blum, ale z tyłu, za plecami Ukraińców, nie należało przechodzić, tam gdzie stał tłum, też nie, bo mogliby mnie zgarnąć. Więc poszedłem między Ukraińcami i tłumem, tak że wszyscy mnie widzieli. Szedłem szybkim, energicznym krokiem, jakbym miał prawo tak iść. I wiesz? Nikt mnie nawet nie zaczepił.

- Odnoszę wrażenie, że ty sam bardzo lubisz takie historie - o szybkim, energicznym kroku i o strzelaniu w reflektor. Że wolisz je od opowiadania o piwnicach.

- Nie.

- Myślę, że wolisz.

- Opowiedziałem ci tę historię z Ukraińcami z całkiem innego powodu. Bo kiedy wróciłem wieczorem do domu, to na schodach stała Stasia, która miała długie, grube warkocze, i płakała. "Czego płaczesz?" - zapytałem ją. "Bo myślałam, że cię zabrali".

No i już, to wszystko.

Wszyscy byli zajęci jakimiś swoimi ważnymi sprawami, a Stasia cały dzień czekała, aż wrócę.

- Straciliśmy wątek przy reflektorze. Choć, prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy w ogóle istnieje tu jakiś wątek.

- To niedobrze?

- Dlaczego? Dobrze. Przecież nie piszemy historii. Piszemy o pamiętaniu. Ale niech będzie ten reflektor: Zygmunt go zgasił - szybko przebiegliście... Czekaj, a co z dzieckiem Zygmunta, które było w Zamościu w klasztorze?

- Z Elżunią? Odnalazłem ją zaraz po wojnie.

- Gdzie jest?

- Nie ma jej. Wyjechała do Ameryki. Jacyś bogaci ludzie zaadoptowali ją i bardzo ją kochali. Elżunia była piękna i mądra. A potem popełniła samobójstwo.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Kiedy byłem w Ameryce, poszedłem do tych rodziców. Pokazali mi jej pokój. Niczego w nim nie zmieniali od jej śmierci. Ale nadal nie wiem, dlaczego to zrobiła.

- Wszystkie historie o ludziach, które opowiadasz - prawie wszystkie - kończą się śmiercią.

- Tak? Bo to są tamte historie. Te, które ci opowiadam o pacjentach, kończą się przecież życiem.

- Zygmunt, ojciec Elżuni, strzelił w reflektor...

- ...przeskoczyliśmy przez mur i wybiegliśmy do getta centralnego na Franciszkańską, a tam, na podwórku, stoi Blum (którego w tamtej akcji jednak nie zgarnęli) i Gepner. Ten, któremu wyszabrowałem czerwony sweter z walizki. Z prawdziwej, puszystej włóczki, piękny sweter...

- Wiem. Tosia przysłała ci niedawno z Australii dokładnie taki sam. A o Gepnerze czytałam wiersz: "Pieśń o kupcu żelaza, Abramie Gepnerze". Mowa jest tam m.in. o tym, że przyjaciele z aryjskiej strony prosili go, żeby wyszedł, a on odmówił i został w getcie do końca. Zauważyłeś jak często powtarza się w opowiadaniach o getcie ten motyw: szansy wyjścia i decyzji zostania? Korczak, Gepner, wy... Może dlatego, że dokonanie wyboru między życiem a śmiercią jest ostatnią szansą zachowania godności...

- Blum mówił nam (na tym podwórku na Franciszkańskiej), że był wypad grupy AK na mur przy ulicy Bonifraterskiej, ale im się nie udało, i że Anielewicz jest załamany, że nie ma broni i że na nic już nie możemy liczyć... Mówię: "No dobrze, dobrze, tylko nie stójmy tak". A oni pytają: "To gdzie iść?" Jest nas trzydziestu paru, i Gepner, i Blum, i wszyscy czekają na jakieś rozkazy, a ja sam nie mam pojęcia, gdzie iść.

Zeszliśmy na razie do piwnic, a wieczorem Adam mówi, że chce wrócić po Anię. Prosi, żebym dał mu oddział, zapytałem, kto chce iść, dwóch czy trzech się zgłosiło, poszli i opowiedzieli potem, że ten schron z Anią i matką jest już zasypany, a sześciu chłopaków, którzy nie chcieli z nami iść, też nie żyje.

Chcesz może zapytać, czy czuję wyrzuty sumienia, że ich zostawiłem?

- Nie chcę.

- Nie czuję, nie. Ale jest mi przez cały czas przykro.

A na drugi dzień spotkałem wszystkich - Anielewicza, Celinę, Jurka Wilnera, poszliśmy do ich schronu, te dziewczyny, te dwie prostytutki, zrobiły nam coś do jedzenia, a Guta częstowała papierosami. Był to spokojny, dobry dzień.

Jak myślisz, czy o takich rzeczach można opowiadać ludziom?

- Nie wiem, o czym myślisz.

- O tych chłopcach, tych, których zostawiłem na podwórku.

Czy o takich rzeczach lekarz powinien opowiadać ludziom? Przecież w medycynie liczy się każde życie - każda najmniejsza szansa uratowania życia.

- Czy nie moglibyśmy pomówić o jakimś reflektorze, skoku przez mur - o czymś w tym rodzaju?

- Przecież to wszystko jest na przemian. Gdzieś się biegnie, a potem ktoś ginie, potem znowu biegnie, potem Adam wystawia z piwnicy głowę i po murku zaczyna się toczyć granat, krzyczę: "Adam, granat", i ten granat wybuchu mu na głowie. Potem

wyskakuję z piwnicy, na podwórku stoją Niemcy, ale ja mam te dwa pistolety - wiesz, na tych dwóch paskach na krzyż, strzelam...

- Z obu trafiasz?

- Ależ skąd, z żadnego, ale mogę dopaść domu, tamci lecą za mną, więc biegnę na dach - takie historie są dobre?

- Pierwszorzędne.

- Uważasz, że ładniej jest biegać po dachach niż siedzieć w piwnicy?

- Wolę, jak biegasz po dachach.

- Wtedy nie widziałem różnicy. Ale ją zobaczyłem później, w powstaniu warszawskim, kiedy wszystko już działo się w dzień, w słońcu, w przestrzeni bez muru. Mogliśmy tam nacierać, cofać się, biec. Niemcy strzelali, ale i ja strzelałem, miałem swój karabin, miałem biało-czerwoną opaskę, byli inni ludzie z biało-czerwonymi opaskami - dookoła wielu ludzi - słuchaj, jaka wspianiała, jaka komfortowa była to walka!

- Wracamy na dach?

- Przebiegłem nim do drugiego budynku. Wszystko w tym czerwonym swetrze, a taki czerwony sweter na dachu to jest doskonały cel, ale pod słońce trudno było trafić. W tym drugim budynku, na piątym piętrze, leżał chłopak na wielkim worku z sucharami.

Zatrzymałem się u chłopaka - dał mi suchara, potem jeszcze jednego mi dał, ale więcej już nie chciał dawać. Było południe, o jakiejś szóstej chłopak umarł i miałem cały worek z sucharami dla siebie. Ale, niestety, z workiem trudno skakać, a znów musiałem zeskoczyć, i kiedy wydostałem się na podwórko, leżało tam naszych pięciu zabitych chłopków. Jeden z nich nazywał się Stasiak. Rankiem tego dnia prosił mnie o jakiś adres po tamtej stronie, a ja mu powiedziałem: "Jeszcze nie czas, jeszcze za wcześnie", bo nie miałem adresu po tamtej stronie. A on mówi: "Przecież już koniec, daj mi ten adres, proszę cię". A ja nie miałem adresu. Zaraz potem wyskoczył na podwórze i teraz go odnalazłem.

Trzeba było tych chłopaków pochować.

Wykopaliśmy grób (w podwórzu, na Franciszkańskiej 30). To jest straszna praca wykopać grób dla pięciu ludzi. Pochowaliśmy ich, a że był to pierwszy maja, więc cichutko odśpiewaliśmy nad ich grobem pierwszą zwrotkę "Międzynarodówki". Wierzysz w to? Przecież trzeba było mieć zupełnie źle w głowie, żeby śpiewać na podwórku na Franciszkańskiej.

Potem zdobyliśmy gdzieś cukier i piliśmy ocukrzoną wodę. Akurat miałem w oddziale paru zbuntowanych, którzy uważali, że ich krzywdzę i za mało broni daję, więc urządzili mi strajk głodowy: odmówili wypicia wody.

Wiesz co było najgorsze?

Że coraz więcej ludzi czekało na moje rozkazy.

- Jak zakończył się strajk? (Strajk głodowy w getcie, o Boże!)

- Normalnie. Zmusiło się ich do wypicia wody. Nie wiesz, jak się ludzi zmusza w czasie wojny?

Więc coraz więcej starszych ode mnie i bardziej doświadczonych ludzi pytało mnie, co robić, a ja tego sam nie wiedziałem i czułem się zupełnie samotny.

Przez cały dzień, który przeleżałem z tym umierającym chłopakiem na sucharach, to tylko chodziło mi po głowie.

Szóstego maja przyszedł do nas Anielewicz z Mirą. Mieliśmy odbyć jakąś naradę, ale właściwie nie było już o czym mówić, więc on się położył spać, ja się położyłem spać, nazajutrz mówię: "Zostańcie, co będziecie wracali", ale on chciał iść. Odprowadziliśmy ich, a na drugi dzień, ósmego, poszliśmy do ich bunkra na Miłą 18, była już noc, wołamy - nikt się nie odzywa, w końcu jakiś chłopak mówi: "Nie ma ich. Popełnili samobójstwo". Zostało jeszcze parę osób i te dwie dziewczyny, te prostytutki. Zabraliśmy ich i jak tylko wróciliśmy, okazało się, że jest już Kazik z aryjskiej strony z kanalarzami i że będziemy wychodzić. (Dwie dziewczyny spytały, czy też mogą wyjść. Powiedziałem "Nie".) Przewodników z kanałów dał nam Jóźwiak - "Witold" z PPR - prowadzili nas do wylotu przy Prostej, czekaliśmy tam noc i dzień, i jeszcze noc, i dziesiątego maja o dziesiątej otworzyła się kłapa, już był samochód i nasi ludzie, i Krzaczek od "Witolda" - dookoła stał tłum, ludzie patrzyli na nas w przerażeniu, byliśmy czarni, brudni, z bronią - panowało zupełne milczenie i wychodziliśmy w takie oślepiające, majowe światło.

Andrzej Wajda chciałby zrobić film o getcie. Mówi, że wykorzystałby archiwalne zdjęcia, a Edelman powinien sam opowiedzieć o wszystkim do kamery.

Opowiadałby w miejscach, gdzie to się działo.

Na przykład przy bunkrze na Miłej 18 (dzisiaj leżał tam śnieg i chłopcy zjeżdżali z góry na sankach).

Albo u wejścia na Umschlagplatz, przy bramie.

Bramy już zresztą nie ma, stary mur zawalił się, jak budowano osiedle "Inflancka". Teraz stoją tam wysokie, szare bloki - dokładnie wzdłuż rampy kolejowej. W jednym z nich mieszka moja przyjaciółka, Anna Strońska, mówię jej, że pod oknami, od strony kuchni, stały ostatnie wagony pociągu, bo lokomotywa była tam, gdzie topole. Strońska, która choruje na serce, blednie.

- Słuchaj - powiada - ale ja byłam zawsze dobra dla nich, oni mi krzywdy nie zrobią, co?

- Jasne, że nie - mówię - jeszcze będą czuwali nad tobą, zobaczysz.

- Tak myślisz? - pyta Strońska i trochę się odpręża.

Więc przy porządkowaniu osiedla zawalił się stary mur, ale już postawiono w tym samym miejscu kawałek nowego z białej, zdrowej cegły. Umieszczono pamiątkowe tablice i świeczniki, zawieszono zielone skrzyneczki na kwiaty, dookoła zasiano trawę, wszystko jest porządne, schludne i nowe, a na Zaduszki i Jom Kipur palą się w świecznikach świece.

Albo - pomnik.

Dziewiętnastego kwietnia, w rocznicę, zajechałyby jak zwykle autokary "Orbisu" z zagranicznymi gośćmi i wysiadły z nich panie w wiosennych kostiumach i panowie z aparatami. Dookoła skwerku siedziałyby na ławkach stare kobiety z wózkami, przyglądając się autokarom i delegacjom zakładów pracy gotowym do składania wieńców. "W naszej piwnicy - mówiłaby któraś z kobiet - to jedna siedziała pod węglem i trzeba jej było jedzenie przez okienko od ulicy podawać". (Zdarzyć by się mogło zresztą, że ta, której podawały jedzenie, stałaby teraz w wiosennym kostiumie, dowieziona autokarem wycieczkowym.) Potem rozległyby się werble i ruszyłyby delegacje z wieńcami, po delegacjach zaczęłyby podchodzić jacyś prywatni ludzie z małymi bukietami albo jednym jedynym żonkilem w ręku, po wszystkim zaś, po kwiatkach i werblach, wyszedłby nagle z tłumu stary człowiek z siwą brodą i zacząłby mówić Kadysz. Stałby u stóp pomnika, pod płonącymi zniczami i zawodziłby łamiącym się głosem modlitwę - lament za zmarłych. Za sześć milionów zmarłych. Taki samotny, stary człowiek z brodą, w długim, czarnym palcie.

Tłum by się przemieszał. "Marek, wołałby ktoś, jak się masz!", "Marysiu, jakaś ty ciągle młoda" - odpowiadałby z radością, bo to byłaby Marysia Sawicka, która przed wojną biegła na osiemset metrów w "Skrze" razem z siostrą Michała Klepfisza, a potem ukrywała u siebie tę siostrę-biegaczkę i żonę, i córkę Michała...

Córka i żona przeżyły, a Michał, który został na Bonifraterskiej, na tym strychu, gdzie zasłonił karabin maszynowy, żeby mogli przejść, ma na cmentarzu żydowskim symboliczny grób z napisem.

inż. Michał Klepfisz

17 IV 1913 - 20 IV 1943.

I to byłoby kolejne miejsce do filmowania.

Obok jest grób Jurka Błonesa, jego dwudziestoletniej siostry Guty i ich dwunastoletniego brata Luśka, i jeszcze Fajgele Goldsztajn (która to była? nie pamięta jej

twarzy nawet), i Zygmunta Frydrycha, ojca Elżuni, który powiedział mu pierwszego dnia: "Ty przeżyjesz, więc żebyś pamiętał - w Zamościu, w klasztorze..."

To już nie jest grób symboliczny.

Po wyjściu z kanałów pojechali do Zielonki, gdzie była przygotowana kryjówka, ale dziesięć minut później przyszli Niemcy. Pochowano ich w Zielonce, pod płotem, więc łatwo było po wojnie znaleźć ciała.

Tych, którzy leżą kilkadziesiąt metrów dalej, w głębi alei, przywieziono po wojnie znad Bugu. Po wyjściu z kanału mieli się kierować na wschód, przeprowić przez rzekę i dotrzeć do partyzantów, ale otworzono do nich ogień, kiedy byli pośrodku rzeki.

W samym końcu alei, gdzie kończą się groby, a zaczyna coś w rodzaju pola - płaskiego, porośniętego wysoką trawą i ciągnącego się w kierunku Powązkowskiej aż do muru - nie ma już żadnych tablic. Tutaj chowano wszystkich, którzy zmarli jeszcze przed likwidacją getta - z głodu, na tyfus, z wycieńczenia na ulicy, w opuszczonych mieszkaniach. Co rano pracownicy Towarzystwa "Wieczność" wychodzili z ręcznymi wózkami, zbierali z ulic ciała i układali stosami na wózkach, jedno na drugim, następnie przecinali jezdnię na Okopowej, wyjeżdżali na cmentarz, który był po aryjskiej stronie, i szli tędy, aleją, do muru.

Grzebano najpierw pod murem, przesuając się stopniowo, w miarę napływu ciał, w głąb cmentarza, aż zajęto całe pole.

Nad grobami Michała Klepfisza, Abraszy Bluma i tych z Zielonki - stoi pomnik. Wyprostowany mężczyzna z karabinem w jednej i granatem w drugiej, wzniesionej ręce, u pasa ma ładownicę, u boku torbę z mapami, a przez pierś rzemień. Żaden z nich nigdy tak nie wyglądał, nie mieli karabinów, ładownic ani map, poza tym byli czarni i brudni, ale na pomniku jest tak, jak pewnie być powinno. Na pomniku jest jasno i pięknie.

Kilka głównych alej uporządkowano, a kiedy zboczyć z nich - zarośnięte groby, kawałki pomników, kolumn, tablic, krzaki, splątane gałęzie... Daty - tysiąc osiemset... tysiąc dziewięćset trzydzieści - tytuły naukowe - godności - ślady świata, który, widać, istniał naprawdę.

W bocznej alejce - "Inżynier Adam Czerniaków, Prezes Getta Warszawskiego, zmarł 23 lipca 1942" - i fragment wiersza Norwida, kończący się słowami "...Więc mniejsza o to, w jakiej spoczniesz urnie, bo grób twój jeszcze odemkną powtórnie, inaczej głosić będą twe zasługi..." ("Tylko o to mamy do niego pretensję - że uczynił swoją śmierć własną, prywatną sprawą".)

Pogrzeb. Idzie uporządkowaną, uczęszczaną aleją, dużo ludzi, wieńców, szarf - od koła emerytów, od rady zakładowej... Jakiś starszy pan podchodzi do każdego z

obecnych i pyta dyskretnie, szeptem: "Przepraszam, czy pan jest może Żydem?" - i idzie dalej - "Przepraszam, czy pan..." Musi mieć dziesięciu Żydów, żeby zmówić Kadysz nad trumną, a naliczył siedmiu.

- W takim tłumie?

- Sama pani widzi, pytam każdego i ciągle wychodzi mi siedem.

I trzyma zagięte skrupulatnie palce: siedmiu, na całym cmentarzu, nie można nawet zmówić Kadysz.

Żydzi są na Umschlagplatzu, w tym mieszkaniu Strońskiej, na rampie.

Brodaci, w chałatach, jarmużkach, niektórzy w czapach otoczonych rudym lisem, dwóch nawet w maciejówkach... Tłumy, dosłownie tłumy Żydów: na półkach, stolikach, nad tapczanem, wzdłuż ścian...

Moja przyjaciółka Strońska zbiera sztukę ludową, a ludowi artyści chętnie odtwarzają przedwojennych sąsiadów.

Strońska przywozi swoich Żydów zewsząd, z całej Polski, z Przemyśla, gdzie jej sprzedają najtaniej i najładniejsze rzeczy, bo ojciec jej był tu przed wojną starostą, z Kielecczyny, ale najcenniejsi są ci z Krakowa. W drugi dzień Wielkanocy, przed kościołem Norbertanek, na Salwatorze, odbywa się odpust i tylko jeszcze tam można znaleźć Żydów w czarnych chałatach i białych atlasowych tałasach, z tefilim na głowie - wszystko uszyte porządnie, przepisowo, jak powinno być.

Stoją grupami.

Jedni rozmawiają z ożywieniem, gestykulując - obok ktoś czytał gazetę, ale tamci widać rozmawiali głośno, bo podniósł znad niej wzrok i się przysłuchuje. Paru się modli. Dwaj, w rudych chałatach, zaśmiewają się z czegoś do rozpuku - przechodzi obok starszy pan z laską i małą walizeczką. Czy nie lekarz?

Wszyscy są zajęci czymś, zaaferowani.

Bo to są Tamci Żydzi, sprzed wszystkiego. Ale już esesman legitymuje przestraszonego przechodnia, dwóch rośliwych, wysokich esesmanów obcina przerażonemu starcowi brodę, już widać twarze - straszne, wykrzywione, z otwartymi w krzyku ustami. Już stąd, z Umschlagplatzu.

Są u siebie, mówi Strońska...

No i w takich miejscach właśnie mógłby kręcić Wajda swój film, ale Edelman powiada, że nie będzie nic mówił do kamery, bo mógł to wszystko opowiedzieć jeden raz. I już opowiedział.

- Dlaczego zostałeś lekarzem?

- Bo musiałem nadal robić to, co wtedy robiłem. Co robiłem w getcie. W getcie za

czterdzieści tysięcy ludzi - tylu było w kwietniu 1943 roku - podjęliśmy decyzję. Postanowiliśmy, że nie pójdą dobrowolnie na śmierć. Jako lekarz mogłem odpowiadać za życie przynajmniej jednego człowieka - więc zostałem lekarzem.

Chciałabyś, żebym tak odpowiedział, prawda? To by zabrzmiało dobrze? Ale wcale tak nie było. Było tak, że skończyła się wojna. Wojna - dla wszystkich wygrana. Ale dla mnie to była przegrana wojna i wciąż mi się zdawało, że jeszcze coś muszę zrobić, gdzieś iść, że ktoś na mnie czeka i trzeba go ratować. Gnało mnie z miasta do miasta i z kraju do kraju, ale jak przyjeżdżałem, to okazywało się, że nikt nie czeka i nie ma już komu pomóc i w ogóle nie ma nic do zrobienia, więc wróciłem (mówili mi: "I ty chcesz patrzeć na te mury, na bruki, na puste ulice?"), a ja wiedziałem, że muszę tutaj być, żeby na to patrzeć), wróciłem więc, położyłem się na łóżku i tak zostałem. Spałem. Przesypiałem dni i tygodnie. Od czasu do czasu budzili mnie i mówili, że przecież coś muszę z sobą zrobić - przyszła mi na myśl ekonomia, już nie pamiętam dlaczego, wreszcie Ala zapisała mnie na medycynę. Więc poszedłem uczyć się medycyny.

Ala była już wtedy moją żoną. Poznałem ją, kiedy przyszła z patrolem zorganizowanym przez doktora Świtala z AK, żeby nas wyprowadzić z bunkra na Żoliborzu. Zostaliśmy tam, na Promyka, po powstaniu warszawskim, m.in. Antek, Celina, Tosia Goliborska, ja - i w listopadzie przysłano po nas ten patrol. (Ulica Promyka jest tuż nad Wisłą, była to jeszcze linia frontu, wszystko zaminowane, więc Ala zdjęła pantofle i przeszła przez pole minowe boso, bo myślała, że jak pójdzie po minach boso, to nie wybuchną.)

Ala zapisała mnie na medycynę, więc zacząłem tam chodzić, ale mnie to nic a nic nie interesowało, i kiedy wracaliśmy do domu to znowu kładłem się na łóżku. Wszyscy się pilnie uczyli, a ponieważ ja leżałem twarzą do ściany - zaczęli mi rysować na tej ścianie różne rzeczy, żebym chociaż coś zapamiętał. To żołądek mi rysowali, to znów serce, bardzo starannie zresztą, z komorami, przedsionkami, aortą...

Trwało to ze dwa lata - przez ten czas sadzano mnie od czasu do czasu w jakimś prezydium...

- Już byłeś na statusie bohatera?

- Coś w tym rodzaju. Albo mówili: "Niech pan opowie, niech pan opowie, jak to było". Ale ja byłem raczej powściągliwy i w tych prezydiach wypadałem słabo.

Czy wiesz, co najlepiej z tego okresu pamiętam?

Śmierć Mikołaja. Tego, który był członkiem "Żegoty" (Rady Pomocy Żydom) jako przedstawiciel naszego podziemia.

Mikołaj chorował i umarł.

Umarł, rozumiesz? Zwyczajnie, w szpitalu, na łóżku! Pierwszy ze znanych mi ludzi umarł, a nie został zabity. Dzień wcześniej odwiedziłem go w szpitalu, a on powiedział: "Panie Marku, gdyby coś się ze mną miało stać, to tu, pod poduszką, mam zeszyt i wszystko wyliczone, co do grosza. Mogą kiedyś jeszcze o to zapytać, więc niech pan pamięta, że saldo się zgadza, a nawet została reszta".

Czy wiesz, co to było?

To był taki gruby zeszyt w czarnej okładce, w której on przez całą wojnę zapisywał, na co wydajemy dolary. Te, które ze zrzutów dostawaliśmy na broń. Jeszcze kilkadziesiąt zostało i też były w tym zeszycie.

- Czy wręczyłeś resztę i zeszyt tym przywódcom związkowym w Ameryce, którzy cię, wzruszeni, gościli w sześćdziesiątym trzecim roku?

- Wiesz - że w ogóle nie zabrałem go ze szpitala. Opowiedziałem o nim Antkowi i Celinie i - pamiętam - strasznie żeśmy się z tej historii śmiali. Z zeszytu, i że Mikołaj tak jakoś dziwnie umiera, leżąc w czystej pościeli na łóżku. Dosłownie pękaliśmy ze śmiechu, aż Celina musiała nam przypomnieć, że przecież to nie wypada.

- Czy przestali ci w końcu rysować te serca na ścianie?

- Tak.

Któregoś dnia wpadłem na jakiś wykład - pewnie żeby tylko indeks podpisać - i usłyszałem, że profesor mówi: "Kiedy lekarz wie, jak wygląda oko chorego, jak wygląda skóra, jak język, to powinien wiedzieć, co temu choremu jest". Spodobało mi się to. Pomyślałem, że choroba człowieka jest jakby rozsypaną łamigłówką, i jak się ją dobrze złoży, to się wie, co jest w człowieku, w środku.

Od tej pory zająłem się medycyną, a dalej już może być to, od czego chciałaś zacząć, a co zrozumiałem znacznie, znacznie później: że jako lekarz mogę nadal odpowiadać za życie ludzkie.

- Dlaczego właściwie musisz odpowiadać za życie ludzkie?

- Pewnie dlatego, że wszystko inne wydaje mi się mniej ważne.

- Może chodzi o to, że miałeś wtedy dwadzieścia lat? Jak się przeżywa najważniejsze chwile życia w wieku lat dwudziestu, to później dość trudno o równie sensowne zajęcia...

- Wiesz, w klinice, w której potem pracowałem, była taka wielka palma. Stawałem czasem pod nią - i widziałem sale, na których leżeli moi pacjenci. To były dawne czasy, kiedy nie mieliśmy dzisiejszych lekarstw ani zabiegów, ani aparatów, i większość ludzi w tych moich salach skazana była na śmierć. Moje zadanie polegało na tym, żeby możliwie najwięcej spośród nich ocalić - i uprzytomniłem sobie kiedyś pod tą palmą, że właściwie to

jest to samo zadanie, co tam. Na Umschlagplatzu. Wtedy też stałem przy bramie i wyciągałem jednostki z tłumu skazanych.

- I tak stoisz przy tej bramie przez całe życie?

- Właściwie tak. A kiedy nic już nie mogę zrobić - to pozostaje mi jedno: zapewnić im komfortową śmierć. Żeby nie wiedzieli, nie cierpieli, nie bali się. Żeby się nie poniżali.

Trzeba dać im taki sposób umierania, żeby nie zamienili się w Tamtych. W tych z trzeciego piętra na Umschlagplatzu.

- Mówiono mi, że kiedy leczysz przypadki banalne i niegroźne - robisz to niejako z obowiązku, ożywasz się prawdziwie, dopiero kiedy zaczyna się gra. Kiedy zaczyna się wyścig ze śmiercią.

- Na tym polega przecież moja rola.

Pan Bóg już chce zgasić świeczkę, a ja muszę szybko osłonić płomień, wykorzystując Jego chwilową nieuwagę. Niech się pali choć trochę dłużej, niż On by sobie życzył.

To jest ważne: On nie jest za bardzo sprawiedliwy. To jest również przyjemne, bo jeżeli się coś uda - to bądź co bądź Jego wywiódło się w pole...

- Wyścig z Panem Bogiem? Cóż to za pycha!

- Wiesz, kiedy człowiek odprowadza innych ludzi do wagonów, to może mieć z Nim później parę spraw do załatwienia. A wszyscy przechodzili koło mnie, bo stałem przy bramie od pierwszego do ostatniego dnia. Wszyscy, czterysta tysięcy ludzi przeszło koło mnie.

Oczywiście, każde życie kończy się i tak tym samym, ale chodzi o odroczenie wyroku, o osiem, dziesięć, piętnaście lat. To wcale nie jest mało. Kiedy córka Tenenbaumowej przeżyła dzięki numerkowi trzy miesiące - uważałem, że to dużo, bo przez te trzy miesiące zdążyła się dowiedzieć, czym jest miłość. A dziewczynki, które leczylimy na stenozę i na zastawki, zdążyły dorosnąć i kochać się, i urodzić dzieci, więc o ileż więcej zdążyły niż córka Tenenbaumowej.

Miałem taką dziewięcioletnią dziewczynkę, Urszulę, ze zwężeniem zastawki dwudzielnej płuc, odpluwała różową, pianistą plwociną i dusiła się - ale wtedy nie operowaliśmy jeszcze dzieci. W ogóle dopiero zaczynano operować w Polsce wady serca, ale ona już umierała, więc zadzwoniłem do profesora, że mała zaraz się udusi. Przyleciał po dwóch godzinach samolotem i jeszcze tego samego dnia ją zoperował. Szybko się poprawiła, później wyszła ze szpitala, skończyła szkołę... Czasem przychodzi do nas, to z mężem, to rozwiedziona, ładna, wysoka, czarna - przedtem szpecił ją trochę zez, ale załatwiliśmy operację u bardzo dobrego okulisty i oczy już też ma w porządku.

Potem mieliśmy Teresę z wadą serca, obrzękłą jak beczułka, umierającą. Jak tylko zeszyły jej obrzęki, powiedziała: "Proszę wypisać mnie do domu", a przez cały ten czas nikt z domu do niej nie przychodził. Poszedłem tam - był to pokój na zapleczu z betonową podłogą, mieszkała z chorą matką i dwiema młodszymi siostrami, powiedziała, że musi już iść, bo trzeba się tymi siostrami zająć - miała wtedy dziesięć lat - i poszła. Urodziła później dziecko, po porodzie znów trzeba było wyciągać ją z obrzęku płuc, ale jak tylko mogła oddychać, powiedziała, że musi już iść, dziecka dopilnować. Czasami do nas przychodzi i mówi, że ma wszystko, co chciała mieć, dom, dziecko, męża, a najważniejsze, mówi, że wyszła z tego pokoju za sklepem.

Potem mieliśmy Grażynę z domu dziecka, której ojciec alkoholik zmarł w szpitalu dla psychicznie chorych, a matka na gruźlicę. Mówiłem jej, że nie powinna rodzić, ale urodziła i wróciła do nas z niedomogą krążenia. Jest coraz słabsza, już nie może pracować, już nie może tego dziecka wziąć na ręce, ale chodzi z nim na spacer z wózkiem, dumna, że ma dziecko jak każda normalna kobieta. Mąż bardzo ją kocha i nie zgadza się na zabieg, a my nie mamy odwagi nalegać i Grażyna gaśnie tak powolutku.

Może źle ci opowiadam, ale już ich teraz nie pamiętam dokładnie. To dziwne. Kiedy są, kiedy jest z nimi źle, kiedy im trzeba pomóc - stają ci się najbliżsi na świecie i wiesz o nich wszystko. Wiesz, że mają kamienną podłogę, ojciec pije, a matka jest chora psychicznie, że w szkole są kłopoty z matematyką, a ten mąż wcale się dla niej nie nadaje, a na studiach jest właśnie sesja egzaminacyjna, więc trzeba wziąć taksówkę i posłać ją na ten egzamin razem z pielęgniarką i lekarstwami, wiesz także wszystko o jej sercu: że ma za wąskie ujście w zastawce albo za szerokie (jak za wąskie - to jest niedokrwienie, a jak za szerokie - to krew zalega i nie wypływa na obwód), patrzysz na nią i kiedy jest taka ładna, wątła, z różową cerą, to znaczy, że krew zalega na obwodzie i nastąpiło rozszerzenie drobnych naczyń podskórnych, a jak jest blada i tętnią jej naczynia na szyi, to ma za szerokie ujście aortalne... Wszystko o nich wiesz i są ci najbliżsi przez te parę dni śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ale potem poprawiają się, wychodzą do domu, zapominasz ich twarze, przywożą kogoś nowego i już tylko ten ktoś jest najważniejszy.

Parę dni temu przywieźli siedemdziesięcioletnią staruszkę z niedomogą. Profesor zoperował ją, była to naprawdę ryzykowna operacja - w ostrej niedomodze krążenia. Zasypiając modliła się: "Panie Boże - mówiła - pobłogosław ręce pana profesora i myśli lekarzy z Pirogowa". ("Lekarze z Pirogowa" - to właśnie my, ja i Aga Żuchowska.)

No powiedz, komu, poza moją pacjentką - staruszką, przyszyłoby do głowy modlić się o moje myśli?

Czy nie najwyższy już czas na odrobinę porządku? Ludzie przecież będą

oczekiwać od nas jakichś liczb, dat, danych o ilości wojsk i stanie uzbrojenia. Ludzie są bardzo przywiązani do powagi faktów historycznych i do chronologii.

Na przykład: powstańców jest 220, Niemców - 2090.

Niemcy mają lotnictwo, artylerię, pojazdy pancerne, miotacze min, 82 karabiny maszynowe, 135 pistoletów maszynowych i 1358 karabinów, na jednego powstańca (według relacji zastępcy, Komendanta powstania) przypada 1 rewolwer, 5 granatów i 5 butelek zapalających. Na każdy teren 3 karabiny. W całym getcie są dwie miny i jeden automatyczny pistolet.

Niemcy wkraczają 19 kwietnia o czwartej. Pierwsze walki: plac Muranowski, Zamenhofa, Gęsia. O drugiej po południu Niemcy się wycofują, nie wyprowadziwszy na Umschlagplatz ani jednego człowieka. ("Myśmy wtedy jeszcze uważali to za bardzo ważne, że tego dnia nikogo nie wywieźli. Uważaliśmy to nawet za zwycięstwo".)

20 kwietnia: do południa Niemców nie ma (przez całe dwadzieścia cztery godziny nie ma w getcie ani jednego Niemca!), wracają o drugiej. Podchodzą pod teren fabryki szczotek. Próbuje otworzyć bramę. Wybucho mina, wycofują się. (To jest jedna z tych dwóch min, które są w getcie. Druga, na Nowolipiu, nie wybuchła.) Wdzierają się na strych. Michał Klepfisz zasłania sobą niemiecki automat, grupa się przebija - radiostacja "Świt" nadaje potem wiadomość, że Michał padł na polu chwały, i odczytują rozkaz Sikorskiego o odznaczeniu go Krzyżem Virtuti Militari, V klasy.

Teraz jest scena z trzema oficerami SS. Z białymi kokardami i opuszczonym automatem proponują zawieszenie broni i wycofanie rannych. Powstańcy strzelają do oficerów, ale nie trafiają żadnego.

W książce amerykańskiego pisarza, Johna Herseya, "The Wall", jest ta scena opisana bardzo dokładnie.

Felix, jeden z wyimaginowanych bohaterów, opowiadał o niej z zakłopotaniem. Drzemie w nim jeszcze - pisze autor - tak typowa dla zachodnioeuropejskiej tradycji tęsknota za regułami gry wojennej i przestrzeganiem zasad "fair play" w śmiertelnej walce...

Strzelił do esesmanów Zygmunt. Mieli tylko jeden karabin, a Zygmunt strzelał najlepiej, bo zdążył przed wojną odsłużyć wojsko. Edelman, widząc zbliżających się oficerów z białymi kokardami, powiedział: "Strzelaj" - i Zygmunt strzelił.

Edelman jest jedynym żyjącym człowiekiem spośród tych, którzy uczestniczyli w owej scenie - w każdym razie, którzy uczestniczyli po stronie powstańców. Pytam, czy odczuwał zakłopotanie, naruszając tak typowe dla zachodnioeuropejskiej tradycji reguły wojennego "fair play".

Mówi, że nie odczuwał zakłopotania, ponieważ trzech Niemcy, to byli dokładnie ci sami, co wywieźli już do Treblinki czterysta tysięcy ludzi, tyle tylko, że przyczepili sobie białe kokardy...

(Stroop wspominał w swoim raporcie o tych parlamentariuszach i o "bandytach", którzy do nich otworzyli ogień.

Wkrótce po wojnie zobaczył Stroopa.

Prokuratura i Komisja do Badania Zbrodni prosiły go, żeby w konfrontacji ze Stroopem ustalić jakieś szczegóły: czy tu był mur, czy tam była brama, takie detale topograficzne.

Siedzieli za stołem - prokurator, przedstawiciel Komisji i on - i do pokoju wprowadzono wysokiego mężczyznę, starannie ogolonego, w wyczyszczonych butach. Stał przed nimi na baczność - ja też wstałem. Prokurator powiedział Stroopowi, kim jestem, Stroop wyprężył się, stuknął obcasami i zwrócił głowę w moją stronę. To się w wojsku nazywa "oddawać honory wojskowe" czy coś w tym rodzaju. Zapytano mnie, czy widziałem, jak zabijał ludzi. Powiedziałem, że nigdy na oczy nie widziałem tego człowieka, oglądałem go po raz pierwszy. Potem pytano mnie, czy możliwe, że w tym miejscu była brama, a stamtąd szły czołgi, bo Stroop tak zeznaje, i to im się z czymś nie zgadza. Powiedziałem: "Możliwe, że w tym miejscu była brama, a stamtąd szły czołgi". Było mi przykro. Ten człowiek stał przede mną na baczność, bez pasa, i miał już jeden wyrok śmierci. Jakie to miało znaczenie, gdzie był mur, a gdzie brama, chciałem jak najszybciej wyjść z tego pokoju.)

Odeszli parlamentariusze (Zygmunt, niestety, chybił), wieczorem wszyscy zeszli do piwnic.

W nocy przybiega chłopiec z krzykiem, że się pali. Wybucho panika...

Przepraszam. "Przybiega chłopiec z krzykiem..." to nie jest poważna historyczna relacja. Podobnie jak fakt, że w piwnicy po okrzyku chłopca kilka tysięcy ludzi zrywa się w panice, wzbija się piach, świece od tego gasną i chłopca trzeba szybko przywołać do porządku. To zanadto szczegółowe, jak na historię... Po chwili ludzie uspokajają się: widzą, że ktoś rządzi. ("Ludzie zawsze powinni myśleć, że ktoś tutaj rządzi".)

A więc Niemcy zaczynają podpalać getto. Rejon fabryki szczotek stoi już w płomieniach, trzeba się przedrzeć przez te płomienie do getta centralnego.

Kiedy pali się dom, to najpierw wypalają się podłogi, a potem spadają z góry płonące belki, ale między jedną belką a drugą mija kilka minut i wtedy właśnie należy przebiec. Jest potwornie gorąco, aż topi się rozsypane szkło i asfalt pod nogami. Biegają między tymi spadającymi belkami przez płomienie. Mur. Wyłom w murze, przy nim

reflektor. "My nie pójdziemy". "To zostańcie...", strzał w reflektor, biegają. Podwórko, sześciu chłopców, strzały, biegają. Pięciu chłopców, grób, Stasiek, Adam, "Międzynarodówka"...

Jeszcze coś: tego samego dnia, kiedy wykopano grób i cichutko odśpiewano pierwszą zwrotkę, trzeba było przedostać się piwnicami do drugiego domu. Czterech ludzi poszło wybić przejście, a na górze stali Niemcy i wrzucali granaty do piwnicy. Zaczął się przedostawać dym, czad, więc kazał natychmiast zasypać otwór. W otworze jeszcze był jeden z chłopaków, ale ludzie zaczęli się dusić, więc nie można już było na niego czekać.

I oto mamy ścisłą chronologię. Teraz wiemy już, że najpierw zginął Michał Klepfisz, potem tych sześciu chłopców, potem tych pięciu chłopaków, a potem Stasiek, a potem Adam, a potem chłopiec, którego trzeba było zasypać. A jeszcze kilkaset osób ze schronu, ale to już nieco później, kiedy paliło się całe getto i wszyscy przenieśli się do piwnic. Było tam potwornie gorąco i jakaś kobieta wypuściła na chwilę dziecko na powietrze, Niemcy dali mu cukierka, zapytali: "A gdzie twoja mamusia", dziecko zaprowadziło ich i Niemcy wysadzili cały schron, kilkaset osób. "Mówiliśmy potem - trzeba było tego dzieciaka, jak tylko wyszedł, zastrzelić. Ale to też nic by nie pomogło, bo Niemcy mieli aparaty podsłuchowe i wykrywali nimi ludzi w piwnicach".

No i to jest właśnie chronologia wydarzeń.

Porządek historyczny okazuje się być tylko porządkiem umierania.

Historia powstaje po drugiej stronie murów, tam gdzie pisze się raporty, wysyła w świat meldunki radiowe i żąda się od świata pomocy. Każdy specjalista zna dzisiaj teksty depesz i noty rządów. Ale kto wie o chłopcu, którego trzeba było zasypać, bo do piwnicy przedostawał się czad? Kto dzisiaj wie o chłopcu?

Te meldunki o getcie pisze po aryjskiej stronie "Wacław". Na przykład: "Komunikat nr 3 Wac. A89,21 kwietnia: "Żydowska Organizacja Bojowa kierująca walką getta warszawskiego odrzuciła ultimatum niemieckie złożenia broni we wtorek do godziny -10 rano... Niemcy wprowadzili do walki artylerię polową, czołgi i oddziały pancerne. Oblężenie getta i walka żydowskich bojowców to niemal jedyny temat rozmów milionowego miasta..."

Przedtem "Wacław" nadawał wiadomości o akcji likwidacyjnej getta - i to od niego właśnie świat dowiedział się o istnieniu Umschlagplatzu, transportach, komorach gazowych i o Treblince. "Wacław" - Henryk Woliński - wymieniany w każdej książce, w każdym opracowaniu naukowym na temat getta, kierował referatem żydowskim w Głównej Komendzie AK. Pośredniczył między ŻOB-em i Komendą, m.in. przekazał

Komendantowi pierwszą deklarację o utworzeniu ŻOB-u, a Jurkowi Wilnerowi rozkaz gen. Grota-Roweckiego podporządkowujący ŻOB Armii Krajowej. Skontaktował Żydów z gen. Monterem i oficerami, którzy później dostarczali im broni i uczyli posługiwać się nią. (Najczęściej uczył ich Zbigniew Lewandowski, "Szyna", zastępca dowódcy warszawskiego Kedywu i szef Biura Badań Technicznych AK.) Opowiada, że na "lekcje" przychodziły z getta tylko dwie osoby, kobieta i mężczyzna, co z początku martwiło go, ale okazało się, że mężczyzna był chemikiem, orientował się szybko i instrukcje "Szyny" przekazywał kolegom w getcie. Oprócz instrukcji otrzymali jeszcze chloran potasu i sami dodawali do tego kwas siarkowy, benzynę, papier, cukier i klej i robili butelki zapalające. "Koktajle Mołotowa"? - upewniam się, ale doc. Lewandowski się obrusza: "Nawet porównania nie ma. Nasze butelki były finezyjne, delikatne, obłożone tym chloranem i oblepione papierem, i punkty zapłonowe miały na obwodzie całej powierzchni. Naprawdę - finezyjna, elegancka rzecz. Najnowsza zdobycz Biura Badań Technicznych AK. Wszystko w ogóle, co ŻOB-owi dawaliśmy - mówi "Szyna" - i butelki, i ludzi, i broń, było najlepsze ze wszystkiego, co mogliśmy wtedy dać".

Doc. Lewandowski do dzisiaj nie zna nazwiska tego mężczyzny, który przychodził na Marszałkowską 62 (parter, oficyna na lewo). "Był to wysoki, szczupły szatyn - mówi. - Nie z tych bojowych "pistoletów", tylko cichy i spokojny. Ale - dodaje docent - w szczególnie niebezpiecznych akcjach wcale nie "pistolety" były najlepsze, tylko ci niepozorni".

Mówię więc docentowi, że człowiek, którego uczył, nazywał się Michał Klepfisz.

Razem ze Stanisławem Herbstem "Wacław" opisał przebieg pierwszej wielkiej akcji likwidacyjnej w getcie i raport ten w postaci mikrofilmu kurier przewiózł przez Paryż i Lizbonę (na Boże Narodzenie 1942 roku tuż przed Wigilią gen. Sikorski potwierdził odbiór raportu). Jurek Wilner, przedstawiciel ŻOB-u po aryjskiej stronie, codziennie przynosił z getta wiadomości, dzięki czemu meldunki były aktualne i nadawano je do Londynu na bieżąco. Na przykład:

...Nastrój obłędnej paniki: od -6 30, zaczyna się akcja, każdy jest przygotowany na to, że go mogą zabrać o każdej porze, z każdego miejsca...

...Ostatnia faza likwidacji zaczęła się w niedzielę. Tego dnia wszyscy Żydzi obowiązani byli stawić się o godzinie -10 przed siedzibą Gminy. Tutaj rozpoczęto wydawanie numerków na życie, które każdy obowiązany jest nosić na piersi. Są to żółte kartki z ręcznie wypisanym numerem, zaopatrzone pieczęcią Gminy i podpisem. Numerki są bezimienne...

...W ub. tygodniu na Umschlagplatzu płacono za 1 kg chleba 1000 (tysiąc) złotych,

za jednego papierosa 3 zł.

...Seweryn Majde, gdy przybyli po niego żandarmi, ciężką popielnicą cisnął celnie w głowę jednego z nich. Majdego oczywiście rozstrzelano. Jest to jedyny znany wypadek celowej samoobroby...

...Podróżni przejeżdżający przez Treblinkę stwierdzają, że na tej stacji pociągi się nie zatrzymują.

I tak codziennie: Wilner przynosi z getta informacje - "Wacław" sporządza raporty - radiotelegrafiści przekazują je do Londynu, a radio londyńskie, wbrew dotychczasowym zwyczajom, nie nadaje w swoich audycjach żadnych wiadomości na ten temat. Radiotelegrafiści na polecenie swych szefów pytają o powód, ale BBC nadal milczy. Dopiero po miesiącu daje w serwisie informacyjnym pierwszą wiadomość o dziesięciu tysiącach codziennie i o Umschlagplatzu. Bowiem - jak się okazało później, Londyn przez cały czas nie wierzył w raporty "Wacława". "Myśleliśmy, żeście przesadzili trochę w propagandzie antyniemieckiej..." - wyjaśnili, kiedy mieli już potwierdzenie wszystkiego z własnych źródeł... Więc Jurek Wilner przynosił z getta, poza wiadomościami, także i teksty depeš, jak na przykład tę do Kongresu Żydowskiego w USA, kończącą się słowami: "Bracia! Resztki Żydów w Polsce żyją w przeświadczeniu, że w najstraszniejszych dniach naszej historii wy nie udzieliliście nam pomocy. Odezwijcie się. Jest to nasz ostatni do was apel".

W kwietniu 1943 roku "Wacław" wręcza Antkowi z komendy ŻOB-u rozkaz gen. Montera, "witający zbrojny czyn Żydów warszawskich", a później zawiadamia, że AK będzie próbowała forsować mury getta od Bonifraterskiej i od Powązek.

"Wacław" nie wie do dziś, czy ta ostatnia wiadomość w ogóle do getta dotarła, ale chyba tak, bo przecież Anielewicz mówił coś o spodziewanym ataku i nawet posłali tam chłopca, który nie doszedł (spalili go na Miłej, przez cały dzień słychać było jego krzyk), a chwila, w której Anielewicz dostał wiadomość, to była ta jedyna chwila, gdy odzyskał nadzieję, choć przecież od razu mówili mu, że nic z tego nie może wyjść, że się tam nikt nie przedrze.

Na Miłej krzyczał płonący chłopiec, a po drugiej stronie muru, na jezdni, leżeli dwaj chłopcy, którzy mieli umieścić 50 kilo wybuchowego ładunku na murze getta. Zbigniew Młynarski - pseudonim "Kret" - mówi, że to było właśnie fatalne. To, że od razu zginęli ci dwaj, i nie było już komu przedrzeć się z ładunkiem do muru.

- Ulica była pusta, Niemcy strzelali do nas ze wszystkich stron, karabin maszynowy z dachu szpitala, który przedtem ostrzeliwał getto, teraz zaczął strzelać do nas; za nami, na placu Krasińskich, stała kompania SS, więc Pszenny odpalił minę, która miała

wysadzić mur - wybuchła na ulicy i rozszarpała ciała tych dwóch naszych chłopców, i zaczęliśmy się wycofywać.

- Dziś - mówi pan Młynarski - wiem, jak należało zrobić: trzeba było wejść do getta, odpalić ładunek od wewnątrz, a nasi ludzie powinni czekać po drugiej stronie i wyprowadzić powstańców.

Tylko - jak tak dobrze pomyśleć - to ilu by wyszło? Kilkunastu, nie więcej. I czy oni w ogóle chcieliby wyjść?

- Dla nich - mówi pan Młynarski - to miało aspekt prestiżowy. Późno, ale zrobili na końcu ten akt bolesny. I dobrze, że zrobili, bo ten honor przynajmniej uratowali Żydom.

Dokładnie to samo mówi Henryk Grabowski, w którego mieszkaniu Jurek Wilner chował broń i który później wyciągnął Jurka z gestapo:

- Ci ludzie wcale nie chcieli żyć i należy im zaliczyć na plus, że mieli ten zdrowy rozsądek i chcieli zginąć w walce. Bo i tak śmierć, i tak śmierć, to lepiej umrzeć z bronią niż w sposób pogardliwy.

Pan Grabowski sam to rozumiał - że lepiej zginąć w walce - kiedy go zatrzymano pod gettem, jak wychodził z paczką listów od Mordki. "Przepraszam - poprawia się pan Henryk - od Mordechaja, trzeba dać to uszanowanie stopniowi i funkcji" i gdy go postawili pod murem, a lufę miał przed sobą, o, tak, na wysokości tego kryształ w serwantce, wtedy pomyślał: "Żeby choć ugryźć tego szwaba, żeby mu chociaż te oczy wyjąć..." (Na szczęście był wśród nich granatowy, pan Wisłocki, któremu powiedział: "Dobrze, panie Wisłocki, niech pan robi swoje, ale wiedz pan, że ja nie jestem sam, więc żeby pan potem nie miał jakichś nieprzyjemności z tego powodu..." - i pan Wisłocki zrozumiał zaraz i go puścili.)

Mordkę znał pan Grabowski od lat, sprzed wojny jeszcze. "To przecież chłopak od nas, z dołu, z Powiśla. W jednej ferajnie byliśmy, na rozróbkę, na skoki, na mordobicie z chłopcami z Woli albo z Górnego Mokotowa to zawsze razem się szło".

Taka sama bida była u Anielewiczowej, jak u Grabowskiej, tamta sprzedawała ryby, a ta pieczywo, i jak dziesięć chlebów, czterdzieści kajzerek i trochę włoszczyzny poszło przez dzień - to wszystko.

Już wtedy na Powiślu widać było, że Mordka potrafi się bić, toteż pan Grabowski nawet się nie zdziwił, kiedy spotkał go w getcie już jako Mordechaja - na odwrót, wydało mu się to całkiem naturalne, któż w końcu ma być komendantem, jak nie człowiek od nich z Powiśla. (Mordechaj mówił mu wtedy, co ma powiedzieć chłopcom w Wilnie: żeby gromadzili pieniądze, broń i zdrową, zdecydowaną młodzież.)

Pan Grabowski był przed wojną harcerzem, wszystkich jego kolegów z grupy

starszoharcerskiej rozstrzelano w Palmirach, wszystkich pięćdziesięciu, a on przeżył i dostał teraz od swoich władz harcerskich polecenie wyjazdu do Wilna i organizowania Żydów do walki.

W Kolonii Wileńskiej poznał pan Grabowski Jurka Wilnera. W Kolonii był klasztor dominikanek, którego przełożona ukrywała u siebie kilkoro Żydów. (Powiedziałam moim siostram zakonnym: "Pamiętajcie, że Chrystus mówił: Nie ma większej miłości do Boga jak wtedy, kiedy się daje życie swoje za przyjaciół swoje". I one to rozumiały...)

Jurek Wilner był ulubieńcem matki przełożonej - blondyn z niebieskimi oczami, przypominał jej wywiezionego do niewoli brata. Rozmawiali więc często - ona mu mówiła o Bogu, on jej o Marksie - a kiedy wyjeżdżał do Warszawy, do getta, z którego miał już nie wrócić, pozostawił jej najcenniejszą rzecz, jaką posiadał: zeszyt z wierszami. Zapisywał w nim to, co najbardziej lubił i co wydawało mu się najważniejsze, i zeszyt ten, w brązowej ceratowej okładce, z pożółkłymi kartkami zapisanymi ręką Jurka (to ona wymyśliła mu to imię) - przełożona zachowała do dzisiaj. "Dużo przeszła ta książka. Wizytę gestapo, obóz, więzienie, chciałabym przed śmiercią oddać ją w jakieś godne ręce".

(Z zeszytu Jurka Wilnera)

Nie patrz - nie - nie patrz - nie - co na przedzie co przed tobą

(buty-buty-buty-buty - w górę, w dół, w górę, w dół)

ludzie-ludzie-ludzie-ludzie - opętani ich widokiem

ano, nie masz na wojnie wytchnienia

spróbuj - myśl-myśl-myśl - o czymś dawnym,

o czymś innym

o mój Boże-Boże-Boże - ustrzeż rozum od szaleństwa!

(Buty-buty-buty-buty - w górę, w dół, w górę, w dół)

nie masz na wojnie wytchnienia

my - możemy - znieść - głód - chłód, pragnienie i znużenie

ale - nie-nie-nie-nie - nie ten widok nieustanny

(buty-buty-buty-buty - w górę, w dół, w górę, w dół)

ano, nie masz na wojnie wytchnienia

A więc Jurka poznał pan Grabowski w Kolonii i kiedy Jurek przyjechał do Warszawy, zamieszkał u pana Grabowskiego na Podchorążych. Wszyscy Żydzi z Wilna przybywający do Warszawy zatrzymywali się najpierw u pana Grabowskiego, a on od razu szedł z nimi na targ, żeby kupić coś stosownego do ubrania. "Modne były wtedy narciarki, takie czapeczki z małym daszkiem, ale im było w nich niedobrze, bo jakoś dziwnie

podkreślały nos, więc mówił - cyklistówki tak, kapelusze tak, ale narciarek w żadnym razie". Korygował też ich zachowanie, nawet chód, żeby się poruszali "bez żydowskiego akcentu".

Pan Grabowski poczynił wtedy interesujące spostrzeżenie: im kto bardziej się bał, tym był brzydszy - bo rysy mu się jakoś skrzywiały. Ci natomiast, co się nie bali, jak Wilner, Anielewicz - to były chłopaki naprawdę przystojne i ta twarz zaraz im się inaczej układała.

Jako przedstawiciel ŻOB-u po aryjskiej stronie (pan Grabowski dowiedział się później, już po wojnie, o tej misji; w tamtych czasach człowiek wolał rozumieć jak najmniej, żeby się nie wygadać w czasie przesłuchania) Jurek kontaktował się ciągle z "Wacławem" i oficerami, kiedy zaś nie mógł wszystkich paczek zabrać do getta, zostawiał je u pana Grabowskiego albo u karmelitanek bosych na Wolskiej: a to rewolwery, a to noże, a to trochę trotylu. Karmelitanki nie miały jeszcze tak surowej klauzury jak dziś i wolno im było ukazywać twarz obcym, więc Jurek, zmęczony dźwiganiem worków, odpoczywał u nich na polowym łóżku za parawanikiem w rozmównicy. W tej samej rozmównicy siedzę po jednej stronie czarnej, żelaznej kraty, a matka przełożona - w niszy, w półmroku, po drugiej i mówimy o tych transportach broni dla getta, które przez blisko rok przechodziły przez ich klasztor. Czy nie miały jakichś rozterek? matka przełożona nie rozumie...

- W końcu w takim miejscu broń?!

- Chodzi pani może o to, że broń służy do zabijania ludzi? - pyta matka przełożona. Nie, jakoś nie pomyślała o tym. Myślała tylko, że jak już Jurek zrobi użytek z tej broni i jak nastanie jego ostatnia godzina, to byłoby dobrze, gdyby zdążył uczynić akt skruchy i pojednać się z Bogiem. Nawet prosiła, żeby jej to przyrzekł, i teraz pyta mnie, jak ja myślę, czy pamiętał o obietnicy, kiedy strzelił do siebie w bunkrze, na Miłej 18.

Gdy Jurek i jego koledzy zrobili już z broni użytek - niebo w tej części miasta stało się całkiem czerwone i jego odbłask sięgał aż sieni klasztornej. Dlatego tutaj właśnie, a nie w kaplicy, zbierały się codziennie wieczorem karmelitanki bose i czytały psalmy (Nas dla ciebie mordują na każdy dzień, poczytani jesteśmy jako owce na rzeź. Powstań, czemu śpiesz, Panie?), i ona prosiła Boga, żeby Jurek Wilner przyjął swoją śmierć bez lęku.

Tak więc Jurek gromadził broń, a pan Grabowski ze swej strony energicznie pomagał mu w uzupełnianiu zakupów. Raz zdobył paręset kilo saletry i węgla drzewnego do materiałów wybuchowych (kupił to u Stefana Oskroby, właściciela drogerii na placu Narutowicza), a kiedy indziej 20 dkg cyjanku potasu, który Żydzi chcieli mieć na wypadek

aresztowania. Cyjanek to były małe, szaroniebieskie kostki i pan Henryk wypróbował je najpierw na kocie. Zeskrobał trochę, posypał kielbasę, kot natychmiast zdechł, więc pan Henryk już spokojnie dał kostki Wilnerowi. Bowiem pan Henryk jako właściciel budki ze słoniną i mięsem miał swoją kupiecką ambicję i nie mógł sprzedać przyjacielowi złego towaru.

Heniek "Słoniniarz" - bo taki pseudonim miał pan Grabowski - i Jurek Wilner przyjaźnili się bardzo. Kiedy spali na jednym sienniku (w łóżku spała żona pana Henryka z córeczką, a pod łóżkiem leżały paczki tych noży i granatów) - rozmawiali sobie o wszystkim. Że zimno, że chce się jeść, że mordują i że trzeba będzie nadstawić głowę. "Jeśli chodzi zaś o intelekt w ogóle - wspomina pan Henryk - to Jurek miał umysł filozoficzny, więc często rozmawialiśmy, po co to wszystko, i takie ogólnoludzkie spojrzenie miał na życie".

(Z zeszytu Jurka Wilnera)

A za dzień -

już się nie spotkamy

a za tydzień -

już nie pozdrowimy się

a za miesiąc -

już się zapomnimy

a za rok -

już się nie poznamy

a dziś krzykiem noc nad czarną rzeką

podważyłem jakby trumny wieko

słuchaj - ratuj mnie

słuchaj - kocham cię

słyszysz -

już za daleko

W pierwszych dniach marca 1943 roku Jurka Wilnera aresztowało gestapo.

- Rankiem tego dnia - mówi mecenas Woliński - byłem u niego na Wspólnej, a o drugiej Niemcy obstawili dom i wzięli go z dokumentami i bronią.

Mieliśmy takie niepisane prawo, że gdy ktoś wpadnie, musi milczeć przynajmniej przez trzy dni. Potem, jeśli się załamie - nie będzie do niego pretensji. Jurek Wilner był torturowany przez miesiąc i nie wydał nic, ani kontaktów, ani adresów, choć znał ich dużo i po tamtej, i po aryjskiej stronie.

Uciekł, cudem, w końcu marca, ale wrócił do getta i już się nie nadawał do żadnej pracy: stopy miał poodbijane i nie mógł chodzić.

Cudowną ucieczkę, o której mówił mecenas Woliński, zorganizował przyjacielowi Heniek "Słoniarz". Dowiedział się, że Jurek jest w obozie na Grochowie, zakradł się przez bagna, wyciągnął go i zabrał do siebie do domu.

Jurek miał poodbijane paznokcie, nerki i stopy, torturowano go codziennie i któregoś dnia przyłączył się do grupy przeznaczonej na rozwałkę, w nadziei, że szybciej z nim skończą. Okazało się, że grupę zawieziono do pracy na Grochów - i tam odnalazł go pan Grabowski.

Kurowali go wszyscy - pan Grabowski, jego matka, jego żona, smarowali mu czymś te paznokcie, które odchodziły od rąk, i dawali proszki, po których sikał na niebiesko, i wreszcie Jurek przyszedł do sił i powiada, że chce wracać do getta. A pan Grabowski mówi mu: "Jurek, po co ci to, ja cię wywiezę na wieś..." A Jurek mówi, że musi wracać. A pan Grabowski na to: "Ja cię dobrze schowam, zobaczysz, nikt cię tam do końca wojny nie znajdzie..."

Nie pożegnali się nawet. Kiedy koledzy przyszli po Jurka, pana Henia nie było akurat w domu. A jak tylko wybuchło powstanie w getcie, pan Henryk od razu zrozumiał, że to już jest Jurka koniec. Że z tej awantury to już on na pewno nie wyjdzie. Nie z awantury właściwie, a z tej tragedii, która zaistniała.

Rzeczywiście, Jurek nie wyszedł - a z jednego z ostatnich meldunków ŻOB-u można się dowiedzieć, że to on właśnie dał sygnał do samobójstwa 8 maja w bunkrze na Miłej 18.

"Wobec beznadziejnego położenia, by nie wpaść żywcem w ręce Niemców, Arie Wilner wezwał bojowców do popełnienia samobójstwa. Jako pierwszy Lutek Rotblat zastrzelił naprzód swą matkę, a potem siebie. W schronie znalazła śmierć większość członków Organizacji Bojowej z jej komendantem Mordechajem Anielewiczem na czele".

Po wojnie pan Henryk (najpierw miał warsztat samochodowy, potem taksówkę, a potem pracował w transporcie jako pracownik umysłowy w pionie technicznym) nieraz rozmyślał o tym, czy dobrze zrobił, że pozwolił Jurkowi odejść. Na tej wsi na pewno by się podleczył, wzmocnił... "Ale znów jakby przeżył, to może by miał pretensje do mnie? Na pewno miałby pretensje, że żyje, i byłoby jeszcze gorzej..."

(Z zeszytu Jurka Wilnera)

A więc jeszcze raz troszeczkę,
że też mi zawsze ktoś popsuje,
stryczek odetnie.

Wczoraj już czułem śmierć w kościach,
już wieczność miałem kompletnie
w wnętrznościach.

Podają mi łyżeczkę,
łyżeczkę życia.

Nie chcę już, nie chcę tego picia,
pozwólcie, że zwymiotuję.

Wiem, że życie to garnek pełny,
że świat jest dobry i zdrowy,
ale mnie życie w krew nie wchodzi,
mnie tylko uderza do głowy.
Innych żywi, ale mnie szkodzi...

- Napisałem do niego, do getta, list - mówi "Wacław", mecenas Woliński. - Nie pamiętam już, co pisałem, ale były to czułe słowa. Takie, które się tak trudno pisze.

Bolałem nad jego śmiercią bardzo. Bolałem nad śmiercią każdego z tych ludzi.

Takich szanownych.

Takich bohaterskich.

Takich polskich.

Po Jurku Wilnerze wysłannikiem ŻOB-u po aryjskiej stronie został Antek.

- To był bardzo miły i dzielny człowiek - mówi pan Woliński - tylko miał okropny zwyczaj: zawsze nosił ze sobą torbę granatów. Trochę mnie to w rozmowie peszyło, bo bałem się, że wybuchną.

Jedna z pierwszych depeesz, które wysłał do Londynu "Wacław", dotyczyła pieniędzy. Potrzebne były jego podopiecznym na broń, i najpierw przyszło pięć tysięcy dolarów ze zrzutów.

- Dałem je Mikołajowi z "Bundu", a tu przylatuje do mnie Borowski, syjonista, na skargę - Panie Wacławie, mówi, on zabrał wszystko, i nic mi nie chce dać, niech pan mu coś powie.

Ale Mikołaj już dał te pieniądze Edelmanowi, a Edelman Tosi, a Tosia schowała je pod szczotkę do froterowania i jak się mieli wkrótce przekonać, był to doskonały pomysł, bo podczas rewizji całe mieszkanie przetrząsnęli, a nikomu nie przyszło do głowy szukać pod froterką. Za te pieniądze kupiono po aryjskiej stronie broń.

Tosia wykupiła później "Wacława" z gestapo: ktoś dał jej znać, że go aresztowali, więc pomyślała zaraz: "Kto wie, czy nie da się czegoś załatwić perskim dywanem". I

rzeczywiście, dzięki dywanowi "Wacława" wyciągnięto. "Ale bo też - mówi Tosia - to był naprawdę piękny dywan. Z tych beżowych, gładkich persów ze szlakiem dookoła i medalionem pośrodku".

Tosia - doktor Teodozja Goliborska - ostatnia z lekarzy prowadzących w getcie badania nad głodem - przyjechała na parę dni z Australii, więc u mecenasa Wolińskiego jest dzisiaj dużo ludzi i panuje towarzyskie ożywienie i gwar i wszyscy prześcigają się w opowiadaniu różnych zabawnych historii. Na przykład - jakie kłopoty miał "Wacław" z tymi ludźmi z ŻOB-u, którzy za szybko likwidowali agentów. Bo najpierw powinien być wyrok, a potem wykonanie, a oni przychodzą i mówią: "Panie Wacławie, myśmy go już sprzątnęli". - I co było robić? Musiałem pisać do tej komórki strzelającej, żeby ten formalny wyrok jakoś załatwić.

Albo z tym dużym zrzutem co było. Przyszło sto dwadzieścia tysięcy dolarów... - Chwileczkę - mówi na to Edelman - to tam było sto dwadzieścia tysięcy? A myśmy dostali połowę.

- Panie Marku - mówi "Wacław" - dostaliście wszystko i kupiliście sobie pistolety.

- Te pięćdziesiąt?

- Nie, skąd. Pięćdziesiąt pistoletów nie kupiliście, tylko dostaliście od nas, od AK. A zresztą nie, bo jeden poszedł wtedy do Częstochowy i ten Żyd z niego wystrzelił, pamięta pan? A dwadzieścia poszło do Poniatowa...

No i tak wszyscy gawędzą sobie, a Tosia jeszcze wspomina czerwony sweter, w którym Marek latał wtedy po dachach, i mówi, że to była prawdziwa szmata w porównaniu ze swetrem, który mu od razu z Australii wysłał - a kiedy już wracamy do domu, Edelman odwraca się i nagle mówi: "To nie trwało miesiąc. To było parę dni, tydzień najwyżej".

Chodzi o Jurka Wilnera. Że wytrzymał tydzień, a nie miesiąc tortur na gestapo.

No, nie, chwileczkę. "Wacław" mówił o miesiącu, pan Grabowski - o dwóch tygodniach...

"Dokładnie pamiętam, że był tam tydzień".

Zaczyna to być irytujące trochę.

Jeśli "Wacław" mówił, że miesiąc, to chyba wiedział, co mówi.

Bo i cóż się okazuje teraz? Że nam wszystkim bardzo zależy na tym, by Jurek Wilner jak najdłużej wytrzymał tortury na gestapo. To jednak jest duża różnica - milczeć przez tydzień czy przez miesiąc. Naprawdę, bardzo chcielibyśmy, żeby Jurek Wilner cały miesiąc milczał.

"No, dobrze - mówi - Antek chce, żeby nas było pięciuset, literat S. chce, żeby ryby farbowała matka, a wy chcecie, żeby siedział miesiąc. Więc niech będzie miesiąc,

przecież to już nie ma żadnego znaczenia”.

To samo jest ze sztandarami.

Wisiały nad gettem od pierwszych dni powstania: biało-czerwony sztandar i niebiesko-biały. Budziły po aryjskiej stronie wzruszenie, a Niemcy z największym trudem i triumfem zdjęli je jak zdobyczne trofea.

Mówi, że jeżeli były sztandary, to nie kto inny, tylko jego ludzie musieliby je tam powiesić, a oni nie wieszali sztandarów. Chętnie by je powiesili, gdyby mieli trochę czerwonej i białej tkaniny, ale jej nie mieli.

- Więc pewnie kto inny powiesił, wszystko jedno kto.

- Tak? - mówi. - Bardzo możliwe. - Tylko on w ogóle nie widział żadnych sztandarów. Dopiero po wojnie dowiedział się, że były.

- To niemożliwe. Przecież wszyscy ludzie je widzieli!

- No, skoro wszyscy ludzie widzieli, to na pewno były sztandary. A zresztą - mówi - jakie to ma znaczenie. Ważne jest, że ludzie widzieli.

To właśnie najgorsze: że on się na wszystko w końcu zgadza. I już nawet nie ma sensu przekonywać go.

“Jakie to ma dzisiaj znaczenie” - mówi i zgadza się.

“Musimy jeszcze coś dopisać” - powiada.

Dlaczego żyje.

Kiedy wszedł pierwszy żołnierz oswobodziciel, zatrzymał go i zapytał “Jesteś Żydem? To jakim sposobem żyjesz?” Zabrzmiało to podejrzliwie: może wydał kogoś? może zabierał komuś chleb? Więc powinnam go teraz zapytać, czy przypadkiem nie przeżył na czyjś koszt, a skoro nie - to dlaczego właściwie przeżył.

Wtedy on spróbuje się wytłumaczyć. Opowie na przykład, jak szedł na Nowolipki pod siódmy, gdzie był ich lokal, by kogoś zawiadomić, że Irka, lekarka szpitala na Lesznie, leży nieprzytomna w pustym mieszkaniu naprzeciwko. Kiedy szpital przenoszono na Umschlagplatz, Irka połknęła fiolkę luminalu, włożyła nocną koszulę i położyła się do łóżka. On ją znalazł, przeniósł - w tej różowej, nocnej koszuli, przez ulicę, do domu, z którego już wygarnęli wszystkich, i chciał teraz powiedzieć, że trzeba ją będzie zabrać stamtąd, jeżeli przeżyje.

W poprzek jezdni na Nowolipkach ciągnął się mur - dalej była już aryjska strona. Zza tego muru wychylił się nagle esesman i zaczął strzelać. Strzelił kilkanaście razy - i za każdym razem o jakieś pół metra w bok od niego na prawo. Może miał astygmatyzm - to jest taki błąd w widzeniu, który można skorygować szklami, ale Niemiec miał widocznie nie skorygowany astygmatyzm i nie trafił.

- I to wszystko? - pytam. - To, że Niemiec nie nosił właściwych szkieł?

Więc jest jeszcze jedna historia, o Mietku Dąbie.

Zabrakło któregoś dnia do kontyngentu, do tych dziesięciu tysięcy na Umschlagplatzu, trochę ludzi i Edelmana zgarnęli z ulicy na wóz - na platformę, którą wożono wszystkich na Stawki. Była zaprzężona w dwa konie, obok woźnicy siedział żydowski policjant, a z tyłu Niemiec.

Mijali już Nowolipki, kiedy zobaczył nagle, że ulicą idzie Mietek Dąb. Był w PPS, skierowano go do służby w policji, mieszkał na Nowolipkach i właśnie wracał z pracy do domu.

Krzyknął: "Mietek, złapali mnie", a Mietek podbiegł, powiedział policjantowi, że to jego brat, i pozwolili mu zeskoczyć.

Poszli wtedy do Mietka do domu.

Był tam jego ojciec, maleńki, chudy, głodny. Popatrział na nich z niechęcią:

- Mietek znowu kogoś zdjął z wozu, co? I znowu nie wziął grosza?

On mógłby za to już mieć tysiące.

On mógłby za to wykupić chociaż chleb na kartki.

A on co robi? Zdejmuje z wozu za nic.

- Tato - powiedział Mietek. - Nie martw się. Będę miał za to dobry uczynek i pójdę do nieba.

- Jakie niebo? Jaki Bóg?! Ty nie widzisz, co się dzieje? Ty nie widzisz, że Boga już dawno tu nie ma? A jeżeli nawet jest - staruszek zniżył głos - to on jest po Ich stronie.

Nazajutrz tatę Mietka zabrali - Mietek nie zdążył go już zdjąć z wozu i poszedł zaraz potem do lasu, do partyzantki.

To jest ten drugi przykład: kiedy powinien był już na pewno zginąć, ale przypadek znowu go ocalił. Za pierwszym razem uratował go astygmatyzm esesmana, a teraz fakt, że ulicą szedł Mietek Dąb, który właśnie wracał z pracy do domu.

Te dziewczynki przywożone z różową pianą na ustach (te, które zdążyły jeszcze dorosnąć i kochać się, i urodzić dzieci, więc o tyle więcej zdążyły niż córka Tenenbaumowej) miały zwężone zastawki; zastawki to są jakby płatki poruszające się rytmicznie i przepuszczające krew. Kiedy są zwężone, to za mało krwi się przedostaje, może nastąpić obrzęk płuc, serce zaczyna szybciej pracować, aby dostać więcej krwi, ale też nie może bić za prędko, bo komora nie zdąży się krwią wypełnić... Optymalna praca to cztery tysiące dwieście uderzeń na godzinę, a na dobę ponad sto tysięcy razy, przez ten czas przetłacza siedem tysięcy litrów krwi, czyli pięć ton... To wiem od inżyniera Sejdaka, który mówi, że serce to po prostu mechanizm jak każdy inny i jak wszystkie mechanizmy

ma pewne właściwości szczególne: posiada duże rezerwy wydajności pracy, a zużycie materiałowe jest w nim niewielkie, ponieważ potrafi regenerować zużyte części, czyli przeprowadzać remont na bieżąco.

Gdy serce nie jest w stanie sprawnie dokonać remontu - zaczyna chorować. Najczęściej psują się w sercu właśnie zastawki, co zrozumiałe zresztą - mówi inż. Sejdak, bo są one czymś w rodzaju zaworów, a przecież w każdym mechanizmie zawory psują się najłatwiej, choćby w samochodzie.

Zrozumienie istoty pracy serca nie było więc dla inżyniera Sejdaka trudne, dzięki czemu potrafił on w półtora roku skonstruować dla Profesora aparaturę zastępującą prawdziwe serce podczas dokonywania naprawy, to jest podczas zabiegu.

Koszt nowego sztucznego serca wyniósł czterysta tysięcy złotych. Było to rozwiązanie unikalne w skali światowej, na które inż. Sejdak uzyskał patent, a kiedy już prace były ukończone, przyjechał do zakładów "Merinotex" kontroler, stwierdził, że kwota owa nie została zapisana tam, gdzie należy, wobec czego inż. Sejdak naraził zakład na straty, czyli dopuścił się przestępstwa gospodarczego.

Na szczęście inż. Sejdak załatwił odpowiednie podkładki i z zarzutu przestępstwa go uniewinniono, kontroler zaś był na tyle uprzejmy, że w ogóle nie ujął tej sprawy w protokole.

Obecnie inżynier pracuje nad nową maszyną. Będzie pomagała sercu tłoczyć krew przez zwężone naczynia i pozwoli chorym przetrwać czas między zawałem i operacją. Większość ludzi umiera od razu po zawale, nie doczekawszy się operacji. Jeśli będzie to naprawdę dobra maszyna, to uratuje wielu ludziom życie, a przynajmniej (mówi Edelman) osłoni świeczkę jeszcze na moment.

Nie trzeba oczywiście z tą nadzieją przesadzać. Przecież On bardzo uważnie obserwuje i Sejdaka, i Profesora, i te wszystkie ich wysiłki i potrafi zadać najmniej spodziewany cios. Myśleli na przykład, że się udało, że są bezpieczni, a Stefan, brat Marysi Sawickiej, był chyba najszczęśliwszy ze wszystkich, bo miał siedemnaście lat i dostał pierwszy w życiu rewolwer; Marysia Sawicka to ta, co biegała przed wojną razem z siostrą Michała Klepfisza na osiemset metrów w "Skrze" - Stefan miał więc wtedy siedemnaście lat i pierwszą broń i ta radość, że uczestniczył w akcji (był w grupie osłaniającej ich wyjście z kanału), wprost go rozsadzała. Nie mógł usiedzieć w domu i zbiegł na dół do cukierni, w tej samej chwili wszedł do cukierni Niemiec i zauważył ten rewolwer w kieszeni Stefana, wyprowadził go i zastrzelił na miejscu, pod domem, pod oknami Marysi.

Czasami jest to prawdziwy wyścig, a On do końca nie szczędzi im drobnych

małostkowych złościwości. Choćby przy Rudnym: nie było lekarza od koronarografii - gasła żarówka w rentgenie - blok operacyjny zamknięto - nie było siostr instrumentariuszek... Przez cały ten czas bóle się nasilały, każdy ból mógł być już ostatnim, a oni ciągle szukali samochodów, lekarzy, żarówek i siostr. Ale i tak zdążyli. O trzeciej nad ranem, kiedy podziękowali Profesorowi, a Profesor im, kiedy w sercu Rudnego płynęła już szerszą drogą, wytyczoną kawałkiem żyły, krew, a serce pracowało normalnie - pomyśleli sobie, że chyba się udało, że udało im się jeszcze raz.

Przed zabiegiem Rudnego nie był całkiem pewny, czy można go operować w ostrym stanie, bo przecież też czytał te książki, w których piszą, że nie należy, i wyszedł ze szpitala, żeby jeszcze raz pomyśleć o wszystkim spokojnie. Spotkał wtedy doktor Zadrożną. Zapytał ją: "Operować? Jak myślisz?" a doktor Zadrożna bardzo się zdziwiła. "No wiesz?" - powiedziała. - "W waszej sytuacji?" Bowiem mieli akurat drobne nieprzyjemności w pracy, ściślej mówiąc, to on je miał, bo dostał wymówienie, a Elżbieta Chętkowska i Aga Żuchowska postanowiły solidarnie odejść razem z nim - takie tam sprawy bez znaczenia, dość że doktor Zadrożna miała prawo się zdziwić, ponieważ nieudany ryzykowny zabieg nie ułatwiłby im znalezienia posady. Ale kiedy usłyszał - "No wiesz..." - zrozumiał od razu, że teraz nie ma już nad czym myśleć. Decyzja zapadła, i to niejako poza nim - wrócił więc do szpitala i powiedział: "Operujemy", a Elżbieta jeszcze ofuknęła go, że sobie wychodzi, chociaż dobrze wie, że ważna jest każda minuta.

Albo przywożą chorą i wszyscy mówią, że to jest katatonia, taka postać schizofrenii, kiedy chory nie je, nie rusza się, śpi, i nie można go się dobudzić. Leczą ją na to od piętnastu lat, a oni robią podczas snu badanie krwi, okazuje się, że cukru jest trzydzieści parę miligramów procent i przychodzi im na myśl, że to wcale nie jest schizofrenia tylko coś z trzustką. Operują trzustkę - i teraz zaczyna się największe napięcie: zaraz po operacji cukru jest sto trzydzieści, trochę dużo, po dwóch godzinach - sześćdziesiąt, trochę mało, denerwują się, że za szybko spada, po dalszych czterech godzinach te same sześćdziesiąt, więc może jednak się ustabilizował.

Kończy się sprawa trzustki. Zaczyna się codzienność - ale pojawia się tajemnicza historia z wapniem, który nagle zaczyna gwałtownie rosnać u chorego na nerki. Więc trzeba spytać kolegów, jakie są kliniczne objawy pierwotnej nadczynności przytarczyc, oczywiście nikt nie wie, bo to się zdarza raz na wiele lat, dzwonią do Paryża, do ośrodka profesora Royuxe, są tam specjaliści od wapnia, mówią, żeby im przysłać hormon do zbadania w zasobniku w temperaturze minus trzydzieści dwa stopnie, ale pacjent ma już wapnia szesnaście, zaś przy dwudziestu się umiera, wiozą go na operację do Warszawy, może mu przez drogę nie naciągnie; właśnie w momencie kiedy kładą go na stole, jest już

dwadzieścia i chory traci przytomność...

Kończy się sprawa przytarczyc. Zaczyna się codzienność.

Opowiadam o tym wszystkim panu Zbigniewowi Młynarskiemu, pseudonim "Kret", temu, który próbował wysadzić mur na Bonifraterskiej i składał się do strzału dokładnie w chwili, gdy po drugiej stronie, u Edelmana, włączali tę ich jedyną minę. (Pan Młynarski składał się do strzału - i czynił to samo żandarm, ale na szczęście pan Młynarski był od tamtego o ułamek sekundy lepszy.) Pytam więc pana Młynarskiego, czy to wszystko z tym Edelmanem rozumie, a on mówi, że tak, że rozumie doskonale. On sam, dla przykładu, był po wojnie prezesem spółdzielni kuśnierskiej i okres ten wspomina bardzo dobrze, ponieważ musiał szybko działać i podejmować ryzykowne decyzje. Powiedzmy - ze środków obrotowych pokrył raz dach, bo futra zalewało, grożono mu sądem, powiedział: "Proszę, sądziec mnie, wydałem nieformalnie dwa miliony, ale uratowałem trzydzieści". Nikt mu nic nie zrobił, ale taka decyzja wymagała naprawdę odwagi: pomyśleć tylko - środki obrotowe w tamtych czasach przeznaczyć na dach. I o to właśnie w życiu chodzi, konkluduje pan Młynarski. O szybkie, męskie decyzje.

Po tej spółdzielni pan Młynarski robił już prywatnie w swoim warsztacie futra dla państwowych firm, ustawił więc odpowiednio czterech pracowników i miał spokój z wydziałem finansowym. Jeden z ludzi rozpinał skóry, drugi wycinał, trzeci cyrklował, czwarty wykańczał, a pan Zbigniew miał pracę najbardziej odpowiedzialną - układanie. Najważniejsze bowiem w zawodzie kuśnierskim jest to, żeby pasowała skóra do skóry.

Pełnią życia pan Młynarski żył właściwie tylko podczas wojny: "Jako mężczyzna niepozorny jestem, sześćdziesiąt kilo i metr sześćdziesiąt trzy, a przecież odważniejszy byłem od tych wszystkich po metr osiemdziesiąt". Później zaś układał towar, żeby skóry pasowały. "No i jak to można traktować poważnie? - pyta. - Po tamtych czasach - cyrklowanie karakułowych skór?" Dlatego tak dobrze rozumie doktora Edelmana.

Chodzi więc jedynie o to, żeby osłonić płomień.

Ale On - jak mówiliśmy - obserwuje te wysiłki uważnie i potrafi tak przebiegle ugodzić, że jest na wszystko za późno: kiedy biorą krew i okazuje się, że to glimit - już nic zrobić nie można. Dlaczego wzięła glimit? To mógł być krwiak w tylnej jamie czaszkowej. Płatała słowa, nie pamiętała najprostszego wzoru, może zapomniała wtedy adresu albo jak zapala się światło, czegoś w tym rodzaju... Miała wszystko - kochających rodziców, pokój z drogiymi zabawkami, a później świetny dyplom i przystojnego narzeczonego, ale któregoś dnia połknęła środki nasenne i został po niej ten piękny pokój, seledynowo-biały, w którym jej dobry, amerykański ojciec nie pozwala przestawić żadnej rzeczy i mówi, że tak musi zostać na zawsze. Amerykański ojciec pytał doktora Edelmana, dlaczego ona to

zrobiła, ale nie umiał odpowiedzieć, chociaż to była Elżunia, córka Zygmunta, który mówił: "Ja nie przeżyję tego, ale ty przeżyjesz, więc żebyś pamiętał, że w Zamościu, w klasztorze, jest moje dziecko..." Zygmunt strzelił potem w reflektor, dzięki czemu mogli przeskoczyć mur, a Elżunię odnalazł Edelman zaraz po wojnie, i żadnej z nich już nie zdążył pomóc, ani Elżuni, która umierała w Nowym Jorku, ani tej, która tutaj umierała...

Tak więc - nigdy do końca nie wiesz, kto kogo podszedł. Czasami cieszysz się, że ci się udało, bo wszystko dokładnie sprawdziłeś i przygotowałeś, i przekonałeś ludzi, i wiesz, że już nic złego nie powinno się stać, a Stefan, brat Marysi Sawickiej, ginie, bo rozsadyła go radość, a do gospodyni Abraszy Bluma puka dozorca, mówi: "U pani jest Żyd", zamyka drzwi od zewnątrz, idzie do telefonu (na dozorcę AK wydało później wyrok śmierci, zaś Abrasza wyskoczył z okna na dach, połamał nogi i leżał tak, aż przyjechało gestapo); albo człowiek umiera na stole operacyjnym, bo to był zawał okrężny, który nie dał śladów w koronarografii ani w EKG. Pamiętasz więc dobrze o tych wybiegach, i nawet jak operacja kończy się pomyślnie - czekasz.

Nastąpią długie dni czekania, bo teraz się dopiero okaże, czy serce się przystosuje do sztukowanych kawałków żył, do nowych tętnic i do lekarstw. Potem stopniowo się uspokajasz, nabierasz pewności... I kiedy już to napięcie i ta radość całkiem z ciebie opadną - wtedy, dopiero wtedy uprzytamniasz sobie, jaka to jest proporcja: jeden do czterystu tysięcy.

1 / 400 000.

Po prostu śmieszne.

Ale każde życie stanowi dla każdego całe sto procent, więc może ma to jakiś sens.